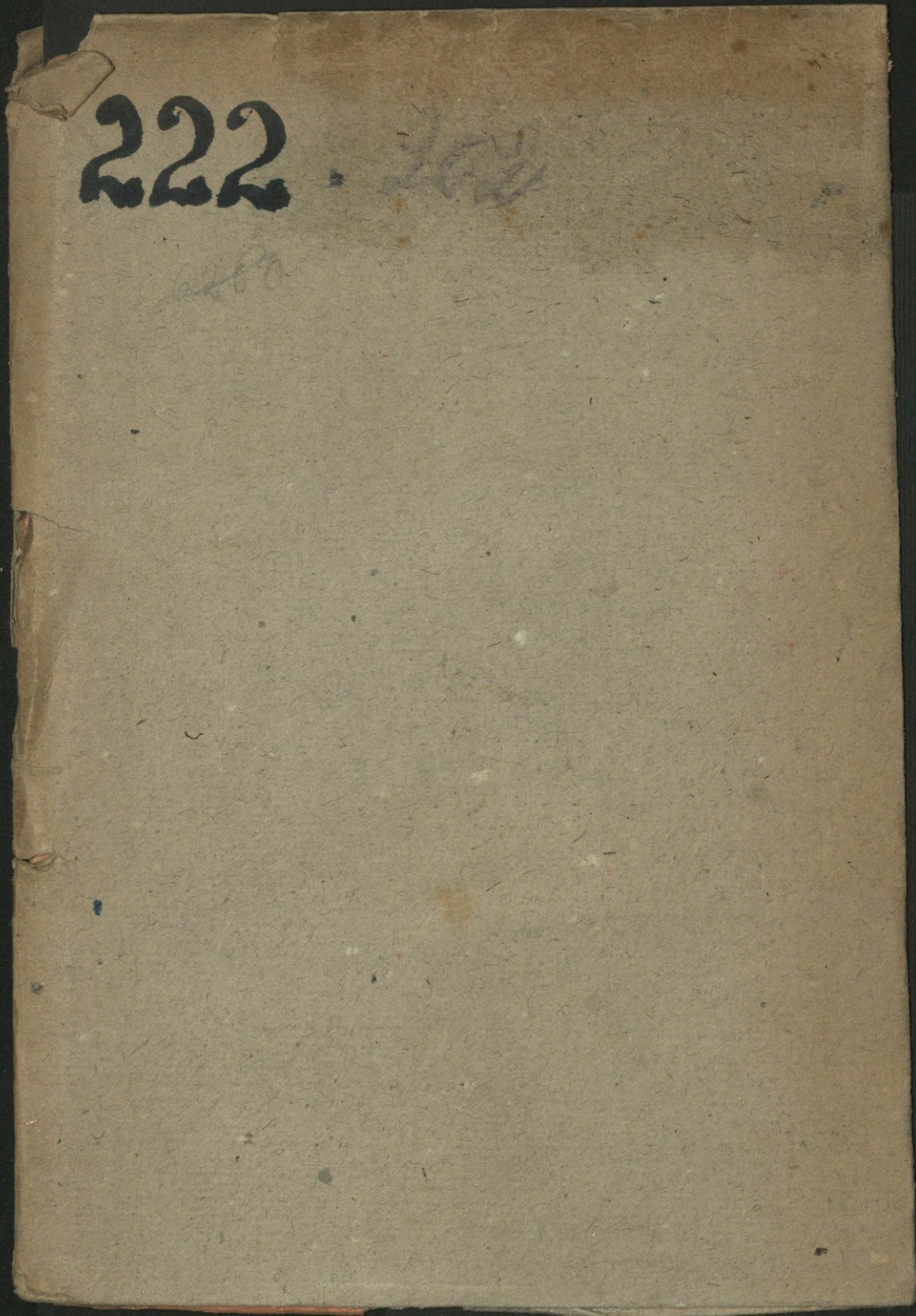


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19



222

Rok I.

222



WIA
OTEKA
YSTKICH

№ 9.

DWA
Powstania
Poznańskie

Rok 1846 i 1848

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

WARSZAWA

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

Jan Rowiński i Adam Sobieszczęński

Hoża 16.

1907.

L. S. 719

Cena tomu pojedynczego 15

DO CZYTELNIKÓW.

Tania Biblioteka dla Wszystkich, której dziewiąty numer oddajemy dziś w ręce czytelników, będzie im co tydzień dawała dziełko popularno-naukowe, beletrystyczne lub poetyckie, zarówno ze skarbnicy naszych wielkich pisarzy przeszłości, jak i autorów współczesnych swoich i obcych.

W ten sposób za niską cenę **5 rb. 20 kop.**, co rok da czytelnikom **52 lub 53 tomy** prac zajmujących i poruszających, które niewątpliwie stanowią będą lekturę pożyteczną i czytelną dla wszystkich warstw społeczeństwa, a zarazem najtańszą.

Stojąc na gruncie bezpartyjnym, **Tania Biblioteka dla Wszystkich** służyć chce prawdziwej sztuce, rzetelnej wiedzy i uczciwym hasłom, aby tylko zdrowe ziarna dorzucać do dorobku ojczyzny.

Dotąd wyszły:

- | | |
|----------------------|--|
| 1. Karol Libelt | O miłości ojczyzny. |
| 2. Wincenty Pol | Pieśni Janusza (<u>skonfiskowane</u>) |
| 3. Artur Glisczyński | Obrazki. |
| 4. K. Wł. Wóycicki | Amerikanin (powieść z życia Kościuszki). |
| 5 i 6. H. G. Wells | Wojna dwóch światów (powieść z angielskiego). |
| 7. Młoda Litwa | Nowele litewskie. |
| 8. A. I. Kuprin. | Olesia (powieść z rosyjskiego). |
| 9. W. Trąpczyński | Powstania Poznańskie 46 i 48 r. |

W druku:

Nastroje w przekładzie *Z. Bartkiewicza*. *Rob. Kłofta*, *Jaskinia w Monte-Carlo*. *Poeci-legjoniści*, Wybór. *Piotr Nansen*, *Próba ognia*. *Heleny Höhtau*, *Pół-Zwierzę*.

W dalszym ciągu ukazą się powieści i nowele:

Najmłodszych ukraińców w przekł. *Jerzego Orwicza*. Najmłodszych francuzów w przekł. *Z. Bartkiewicza*. Najmłodszych rosjan w przekł. różnych autorów. Najmłodszych czechów w przekł. *Jerzego Randrowskiego*. *A. Miecznika*, *Biurokrata w opactwach*. *Jenerała Prączyńskiego*, *Cztery wodzowie*. *A. Schnitzlera*, *Śmierć*. *L. Andrejewa*, *Życie czło-*

Tomasz Kurcz

Tania Biblioteka dla Wszystkich.

No 9.

DWA

N^o 222

Powstania Poznańskie

Rok 1846 i 1848

ORAZ

Proces w Moabicie

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.



WARSZAWA.

Nakładem Spółki Wydawniczej

JAN ROWIŃSKI I ADAM SOBIESZCZAŃSKI.

Hoża 16.

7260/4

93(438)9 323.8 2

6699/1

Druk Drukarni Polskiej, Warszawa, Jasna 2.
(L. Straszewicza).

1907.

Słowo wstępne.

Jako syn jednego z „głównych sprawców” (*Urheber*) wypadków, które zaszły w marcu 1846-go w Poznaniu, z bardzo prostych i dla każdego zrozumiałych łatwo powodów musiałem od najpierwszej młodości ze szczególniejszem zamiłowaniem spoglądać w tę przeszłość odległą i szczególniejszą też poświęcać uwagę wszystkiemu, co mogłoby rozjaśnić tę, bądź co bądź, ciekawą chwilę dziejową. Ciekawą, a szerszemu ogółowi dotąd bardzo mało znaną. Okrutna rzeź galicyjska, następnie zaś prawiłowy już niejako ruch zbrojny w tem samem Wielkiem Księstwie Poznańskiem w r. 1848, bitwy pod Miłosławiem, Książem i Wrześnią, — wszystko to wprowadziło w cień zapomnienia wypadki z 1846-go. Wprawdzie syn znakomitego generała polskiego i sam wielkiej miary patryota, Władysław Euzebjusz Kosiński, starał się rozpaczliwy wybuch, „wytoczyć przed sąd opinii publicznej”*), wprawdzie Leon Zienkowicz w swoich „Wizerunkach” zgromadził niezmiernie obfity materiał, odnoszący się do całego przebiegu sprawy; ale pomimo to samo

*) *Kosiński W. E.* „Sprawa polska z r. 1846 przed sąd opinii publicznej wytoczona”. Poznań 1850.

pierwsze powstanie poznańskie nie zwróciło baczniejszej uwagi historyków naszych. Wypadki z r. 1846, o ile dotyczą W. Ks. Poznańskiego, zesły z biegiem lat do roli „epizodu” historycznego, który godny jest wprawdzie zaznaczenia w dziejach porobiorowych Polski, ale który nie przynosi nowego listka do wieńca sławy, zdobytego bohaterstwem ojców i dziadów naszych. Są nawet historycy, którzy odmawiają wypadkom poznańskim z 1846-go prawa do miana „powstania narodowego”, podług nich miał to być tylko „wybryk junacki garstki nieliczących się z niczem szaleńców”.

Te wszystkie względy, a zwłaszcza zachęta ze strony znanego działacza, mecenasa, pisarza i posła, pana Alfonsa Parczewskiego, który wskazał mi żyjących uczestników powstania, ażeby od nich zasięgnąć szczegółów, skłoniły mnie do skreślenia w formie krótkiej i przystępnej obrazu tego, co się działo przed z górą 60-ciu laty w W. Ks. Poznańskiem.

Włodzimierz Trąpczyński.

Rzut oka na dzieje W. Ks. Poznańskiego od 1815-go do 1846-go roku.

Do zrozumienia wypadków, które stanowić mają treść tej książki, potrzeba przede wszystkim cofnąć się wstecz i sięgnąć do traktatów wiedeńskich z r. 1815-go. Jest to konieczne z dwóch względów, najpierw bowiem poznamy, w jaki sposób kształtowały się stosunki w jednej z trzech dzielnic dawnej Rzeczypospolitej, a powtóre przekonamy się, z jaką perfidją i wiarołomstwem postępowały Prusy, ażeby prędzej czy później wcielić bez ograniczeń szmat ziemi polskiej do całości państwa Hohenzollernów.

Na mocy traktatów wiedeńskich, jak wiadomo, krótkotrwałe Księstwo Warszawskie przestało istnieć, z okrojonej zaś jego części, utworzonej w ten sposób, że linię graniczną poprowadzono od ujścia Prosny na Lubicz ku Toruniowi, powstało „Wielkie Księstwo Poznańskie”, składające się z dwóch departamentów: poznańskiego i bydgoskiego. Na tym obszarze, obejmującym 525 mil kwadratowych, nie mieściła się jednak cała ludność polska, która dostała się pod panowanie pruskie. Pozostawały jeszcze ziemie: Michałowska i Chełmińska, które mogły być złączone z departamentami poznańskim i bydgoskim w jedną nierozdzieloną ca-

łość. Do tego jednak dopuścić nie chciano i obie ziemie przyłączono do Prus Zachodnich.

W ten sposób utworzone W. Ks. Poznańskie, jako „oddzielną prowincję”, zajął w imieniu króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III-go, w dniu 28 maja 1815-go roku, generał Thiimen, rządy zaś z ramienia tegoż króla powierzone zostały „współobywatelowi”, właścicielowi dóbr Wieruszew, panu Zerboni di Sposetti. Oprócz tego zarządcy, noszącego tytuł, do dnia dzisiejszego utrzymany „prezesa naczelnego regencji”, W. Ks. Poznańskie otrzymało osobnego namiestnika, wybór zaś padł na spokrewnionego z domem Hohenzollernów księcia Antoniego Radziwiłła. Gwarantowało to samodzielność kraju i rzeczywiście ta samodzielność objawiła się od razu w tem, że W. Ks. Poznańskie pozyskało znakomite ustępstwa pod względem utrzymania w pełni narodowości polskiej. Na służbę państwową w tej dzielnicy nie mógł być przyjęty urzędnik, nie posiadający znajomości języka polskiego; w szkołach ten język szerokie znalazł uwzględnienie.

W dniu 3-im sierpnia 1815-go roku nowy namiestnik przystąpił do odbierania od ludności przysięgi na wierność królowi pruskiemu. Nie napotkał przytem na żaden opór, zwłaszcza gdy w przemowie swojej, zastosowanej do tej uroczystości, książę-namiestnik oświadczył, że odtąd „W. Ks. Poznańskie ma tworzyć *część osobną* państwa pruskiego” i że „język polski, zwyczaje i obyczaje narodowe będą Polakom pozostawione”.

Taka gwarancja uspiła czujność ludności, zmęczonej długotrwałą zawieruchą napoleońską i ciągnącą niepewnością o losy ojczyzny. Królestwo Polskie Kongresowe i samodzielnie rządzące się W. Ks. Poznańskie, pomimo słupów i znaków granicznych, miały pozostawioną sobie możliwość współdziałania na drodze rozwoju kraju. W namiestniku,

ks. Radziwile, nie widziano narzędzia króla pruskiego, lecz rodaka, który z rodu, stanowiska i majątku miał prawo stanąć na czele oderwanej od całości dzielnicy. Tu przemawiał Polak do Polaka i jako taki musiał być wysłuchany. Zresztą sama rota przysięgi nie zawierała w sobie nic takiego, co mogłoby podawać w podejrzenie dobrą wolę rządu pruskiego wobec Polaków. Przeciwnie, ta rota najwyraźniej zaznaczała, że W. Ks. Poznańskie nie będzie uważane na równi z innymi prowincjami pruskimi. Brzmiała ona dosłownie:

„Uznaję Najjaśniejszego Króla Pruskiego za jedyne legalne panujące nad tą ziemią, tę zaś dzielnicę Polski, która na mocy Kongresu Wiedeńskiego znowu przypadła królewskiemu pruskiemu domowi, za moją ojczyznę, którą pod wszelkimi warunkami i okolicznościami, przeciw wszelkiej potędze i przeciw komukolwiek bronić krwią własną jestem obowiązany i gotów“.

Odrębność kraju i jego samodzielność stwierdzał nawet herb, zaledwie częściowo podobny do godła państwa pruskiego. W herbie W. Ks. Poznańskiego pozostał orzeł biały, złożony na pierśsiach pruskiego orła czarnego. Moneta zdawkowa, będąca w obiegu z czasów dawniejszych, nie utraciła również znaczenia swojego.

Przysięgę, odbieraną od ludności, poprzedziło w dniu 17 czerwca złożenie hołdu królowi ze strony deputacji polskich, które do Charlottenburga powiódł były minister Księstwa Warszawskiego, Stanisław Breza.

Jako prowincja samodzielna W. Ks. Poznańskie posiadać musiało swój sejm krajowy i sejm ten został też powołany do życia. Wprawdzie zadania jego były od razu bardzo ograniczone i tylko w zupełności powierzono sejmowi załatwianie spraw ekonomicznych, ale pomimo to posłowie mieli głos doradczy w kwestjach narodowych.

Pojednana z nowemi warunkami życia, ludność polska odetchnęła i nie odczuwała jeszcze twardej ręki pruskiej. Rząd berliński łudził nawet Polaków, że pozwoli na utworzenie wojska oddzielnego, które nosiłoby w zasadzie nazwę „dywizji prusko-polskiej”, ale w gruncie rzeczy stałoby się małą armją narodową. Jenerałowie polscy, znani z legjonów i kampanji napoleońskiej, Amilkar Kosiński i Stokowski, zajęć się mieli formacją tej dywizji, która jednak w rezultacie nie doszła do skutku. Kiedy jeszcze rząd pruski zwrócił uwagę na wycieńczenie kraju i niezmiernie ciężkie położenie odłużonych po uszy wskutek wojen obywateli ziemskich i kiedy przyszedł im z wielką pomocą, powołując do życia w r. 1821 Towarzystwo Kredytowe, pospolicie „Landszaftą” zwane, wtedy, ze wzmożeniem dobrobytu, kiełkować zaczęły sympatje dla Niemców i budzić wdzięczność w sercach ogółu ludności. Stan włościański potrafił sobie rząd pruski zjednać zniesieniem pańszczyzny w r. 1823-im, chociaż zniesienie to jest równie dobrze zasługą Polaków. Na drodze do zupełnego uwłasnowolnienia chłopu wielkopolskiego najpoważniejszą może nawet rolę odegrali wybitni mężowie ówczesni i gorący patryjoci polscy: sam namiestnik, ks. Radziwiłł, Dezydery Chłapowski i Pantaleon Szuman. Sprawiedliwość wyznać każe, iż obywatele ci w zabiegach swoich nietylko nie znaleźli oporu u władz berlińskich, ale przeciwnie, spotkali się z pomocą. Rząd pruski tym razem, choć mógł to uczynić łatwo, nie chciał skorzystać ze sposobności, ażeby sprawę uwłaszczenia chłopów wysyskać w celach podburzenia ich przeciw szlachcie i stworzenia waśni w jednolitym narodzie polskim. Wiemy wszyscy, że inaczej postąpiono później w Królestwie Polskiem i że rany, stąd powstałe na ciele zbiorowem, teraz dopiero z wielkim trudem zaczęły się goić.

Pomimo tych wszystkich zwodniczych i dobrze wróżących pozorów, w pierwszych chwilach pouformowaniu W. Ks. Poznańskiego miał już rząd pruski cel przed sobą jasno wytknięty. Celem tym było zgermanizowanie wcielonej do Prus ludności. Najlepszym tego dowodem jest wprost klasyczny przez swoją perfidję i dwulicowość okólnik z dnia 7-go sierpnia 1818-go roku, dotyczący organizacji szkolnictwa. W okólniku tym przyznano, że Komisja Edukacyjna z zadania swojego wywiązała się świetnie i że spuścizna, otrzymana pod tym względem po Księstwie Warszawskim, jest bogata i należyście uregulowana. Prusy otrzymały w spadku 790 szkół z 31,000 uczniów, ciało zaś nauczycielskie stanowiło 884 nauczycieli, przygotowanych zupełnie do swojego zawodu. Po takim przyznaniu, że niewiele jest do poprawy, następuje nagle zwrot i nauczyciele polscy skazani zostają na wymarcie, a ich miejsce zajmują Niemcy. Język polski pozostał jeszcze wykładowym, więc znów czujność musiała być uspiąta, ale duch szkoły z gruntu uległ zmianie. Zresztą i ten język polski już wtedy zaczynał być konsekwentnie wypierany. Na pierwszym posiedzeniu sejmiku krajowego, któremu przydykował ks. Sułkowski z Rydzyny, wniesiono w dniu 30-go stycznia 1824 r. skargę na nieuwzględnianie języka polskiego w szkołach. Skarżono się na to, że tylko w niższych klasach ten język został pozostawiony, gdy natomiast w wyższych „porównany z obcemi.”

Na te biadania posłów rząd berliński był głuchy, jak również ani myślał o zwrocie ziem, zabranych na mocy patentu okupacyjnego i o utworzeniu uniwersytetu, który, zdaniem rządu, stać się mógł niebezpiecznym dla państwa środowiskiem wolnej myśli polskiej. Zwolna zaczynały nawet opadać złudne pozory łagodności i Berlin wysuwał coraz więcej swoje szpony krogulcze. Ukołysani

odpowiednio nowi poddani okazali też odpowiednią potulność, protesty kończyły się na mowach sejmowych i odezwach papierowych, więc też rząd pruski przestawał robić sobie nawet ceremonje. Męczyło Berlin zbyt długie wyodrębnianie nowo nabytego kraju i z całą bezwzględnością zaczęto przeprowadzać od samego początku powzięty plan zrównania tej dzielnicy z innymi prowincjami państwa pruskiego. Stanowczość pruska nie znalazła nawet zapory w tej okoliczności, że namiestnikiem Wielkiego Księstwa był bliski kuzyn panującego monarchy. Z chwilą też, gdy w Berlinie zawyrokowano, iż Poznańczycy dostatecznie są przygotowani do pełnienia obowiązków na równi z pozostałymi Prusakami, nie zawahano się za jednym zamachem znieść namiestnictwo i powołać ks. Radziwiłła do stolicy nadszprejskiej. Nie pozwolono nawet umrzeć na wysokiem stanowisku temu dostojnikowi polskiemu.

Do ostatniego czasu toczy się polemika o to, czy posłowie polscy, wysłani do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego, czynią dobrze, powołując się na zmurszałe dokumenty Kongresu Wiedeńskiego i na przyrzeczenia, dawane solennie przez ówczesnego króla, Fryderyka Wilhelma III-go. Nie przesądzając wcale skuteczności taktyki tego rodzaju, nie możemy jednak pominąć faktu istnienia takich obietnic. Fryderyk Wilhelm III najwyraźniej w odezwie do Polaków z dnia 15 maja 1815 roku przyrzekł: „Zostajecie wcieleni do mojej monarchji, nie potrzebując się zrzekać waszej narodowości;” — „religja wasza ma być utrzymana, o stosownem uposażeniu sług Kościoła będziemy mieli starania”; „język wasz obok niemieckiego we wszystkich publicznych postępowaniach ma być używany.” Ministerjum znów pruskie w r. 1822-im przyznało, że „religja i język są najświętszemi dobrami każdego

narodu” i że tylko ta władza, która je uszanuje, „może być pewną pozyskania serc poddanych”.

Brzmiały te wszystkie słowa bardzo pięknie, ale w gruncie rzeczy były to tylko frazesy. O dotrzymaniu obietnic i stosowaniu w praktyce dalszej pięknych zasad nie myślał ani Fryderyk Wilhelm III, ani jego następcą Fryderyk Wilhelm IV, ani żadne z ministerjów pruskich. Celem tych szumnych odezw było, jeszcze raz to powtarzamy, uśpienie czujności Poznańczyków i cel ten w znacznej mierze został osiągnięty. Z chwilą, gdy rządowi berlińskiemu wydało się, iż grunt dostateczny jest przygotowany, a lojalność nowych poddanych zabezpieczona, zrzuciono rękawiczki i jako pierwszy cios wybrano zniesienie klasztorów oraz zabranie dóbr duchownych. Rząd zobowiązał się wprawdzie płacić pensje kościołom i duchowieństwu, ale była to tylko mała częśćka z tych dochodów, jakie zapewniło rządowi posiadanie bogactw klasztornych.

Po tym pierwszym kroku, który w wysokim stopniu obrażał uczucia katolickie ludności W. Ks. Poznańskiego, następowały już w szybkim tempie inne zarządzenia. Nieszczęśliwie zakończona wojna z 1830—31-go roku przyspieszyła jeszcze stanowcze działanie sfer berlińskich. Bohaterstwo Polaków otoczyło ich aureolą sławy, naród niemiecki w pierwszym porywie przyjmował emigrantów jak tryumfatorów, na cześć ich pisano i śpiewano przeróżne piosenki, z których np. wielce popularną była: „*Denkst du daran mein tapferer Lagienko?*” Ale zapal ten trwał niedługo, a już w żadnym razie nie wpłynął na zmianę prądu u rządu pruskiego. Przeciwnie, Prusacy wydali nawet Rosji część wojska polskiego, które przeszło granicę i tu zostało rozbrojone. Mający opinię „życzliwego dla Polaków” naczelny prezes Zerboni di Sporetta usunięty został z urzędu jeszcze przed zwi-

nięciem namiestnictwa; miejsce jego zajął niedołążny Baumann, aż wreszcie przybył do Poznania, z wyraźnemi już instrukcjami wcielenia wszelkiemi sposobami Księstwa do Prus hrabia Edward Henryk Flottwell, mąż znany z nienawiści do Polaków, czego już poprzednio złożył dowody w Gombinie.

Z chwilą objęcia stanowiska naczelnego prezydenta przez Flottwella rozpoczyna się okres systematycznego wypierania Polaków, tępienia na każdym kroku żywiołu polskiego. Rząd berliński dla przeprowadzenia zamiarów swoich znalazł w nim nietylko powolne narzędzie, ale człowieka, inicjatywy, który albo działał na własną rękę, albo też umiał podsuwać szerokie plany niszczycielskie. Kiedy jeszcze w dniu 8 września 1833-go roku stanęła w Münchengraetz pamiętna ugoda, mocą której trzy państwa rozbiorowe przyrzekły sobie pomoc wzajemną i wydawanie przestępców politycznych, dla hr. Flottwella otworzyło się szerokie pole działania. W myśl zamierzeń rządu pruskiego skorzystał też on wybornie z udzielonych mu atrybucji. Przedewszystkiem zawiesił nowy naczelnny prezes prawo wyboru kandydatów na posady naczelników powiatowych, t. zw. „Landratów,” następnie odebrano obywatelom możność piastowania urzędów gminnych, wójtowskich, a obywatele zastąpili komisarze okręgowi. Ponieważ jednak wszystkie środki nie zdołały złamać siły t. zw. szlachty, pod którą to nazwą rozumiemy tutaj sferę osób, posiadających znaczniejsze obszary ziemskie, przeto uchwycono się środka, zastosowanego na razie w małym zakresie, a następnie, za czasów już bismarkowskich, wprowadzonego jako zasadę polityki pruskiej względem Polaków. Reskryptami z dnia 13 marca i 15 kwietnia nakazano ze specjalnego funduszu wykupywać majątki polskie.

Takie prowokacyjne postępowanie naczelnego prezesa przygotowywało grunt znakomity dla za-

biegów emigracji polskiej, pragnącej doprowadzić do wybuchu zbrojnego na całym obszarze ziem dawnej Polski. Zatarg arcybiskupa Dunina z rządem w sprawie małżeństw mieszanych i uwięzienie oraz osadzenie tego dostojnika Kościoła w Kołobrzegu zaostrzyły jeszcze więcej stosunki. Emisarjuszów, przybywających po raz pierwszy w roku 1841 z Paryża, przyjęto otwartemi rękami i pomimo ostrzeżeń ludzi, którzy przedewszystkiem chcieli pracować na polu oświaty i zapewnienia narodowi rozwoju ekonomicznego, pomimo całej powagi, jaką się cieszył znakomity filantrop i działacz społeczny, Karol Marcinkowski, przeciwny wszelkim ruchawkom bezcelowym, wrzenie umysłów nie ustawało i doprowadziło do wybuchu, który tutaj zamierzamy nakreślić.

Przygotowania do wybuchu.

„Cały plan wywołania zbrojnego powstania — powiada jeden z historyków tej doby — spokojnie i rozważnie go rozstrząsając, musielibyśmy nazwać szalonym. Ale wypadków dziejowych nie ocenia się wedle dzisiejszych pojęć i wymagań. Bezstronny dziejopisarz musi układać, zestawiać, opowiadać i sądzić wypadki tak, jak myśleli i czuli ludzie, którzy kierowali losami swego społeczeństwa i narodu. Plan ułożony przez Centralizację Wersalską nie miał żadnych widoków powodzenia. Polacy z r. 1846-go nie mieli ani garstki wojska swojego, jak go mieli w r. 1831-ym. Lud wiejski, mianowicie w zaborze rosyjskim i austryjackim, był uciśniony, a co najgorsza, nie czuł się w polskim duchu.” W tych warunkach powstanie musiało być chybione.

Zupełnie jednak inaczej przedstawia całą sprawę człowiek, który w ruchu ówczesnym odegrał jedną z ról najpoważniejszych: Jan Alcyata. „Za-

miar nowego w kraju powstania wykuwał się i dojrzał przez lat 15, przechodził różne koleje, miał swoje rozumne podstawy, wady i ułomności.” „Smutne rozwiązanie powstania w 1830—31 roku zostawiło naród duchowo i moralnie rozbity, rozpierchły; politycznie materialnie zdeorganizowany. Władzy narodowej zachowanej z przeszłości nie było i być nie mogło.” Duchowe to jednak, moralne omdlenie Polski musiało być przemijające, „każda mogła przypominała bohaterów, każda rodzina liczyła w gronie swoim uczestników sławy i przekazicieli dzieła niedokonanego.” A zatem, zdaniem Alcyaty, „nowe powstanie wywiązywało się z praw moralnych,” „nowe powstanie leżało w naturze rzeczy i miało sobie zakreśloną pewną epokę.”

„Nadzieje zewnętrzne — czytamy dalej — zawodziły; życie było wewnętrzne. Polska od przyjaćciół opuszczona, a przez nieprzyjaćciół uciemiężana, powiedziała sobie: „żyć, ostać się i oswobodzić zdolam o własnej mocy.”

Tę moc potrzeba jednak było w sobie wyrobić, innemi słowy potrzeba było stworzyć władzę narodową, której rozdzielone części Polski nie posiadały. Władzę taką uzurpowała sobie emigracja polska, zgromadzona w Paryżu. Dlaczego? Oto dla tego, że jak powiada inny, bardzo wybitny jej członek, Leonard Rettel, tworzyła „emigracja powagę moralną,” Alcyata zaś twierdzi, iż emigrację naród uważał „za swą moralną reprezentację, obdarzoną mandatem do wytknięcia drogi na przyszłość.”

W tych warunkach stać się musiało to, co się stało. Emigracja, podzielona na dwa stronnictwa, „zbyt przesadzone mające o swem posłannictwie wyobrażenie,” pchała naród naprzód i wydała ów pamiętny „Manifest,” który wszystkich niechęć późniejszych stać się miał przyczyną.

Nie możemy tutaj kreślić całego wyteżania sił do oddziaływania na kraj ze strony t. zw. Centralizacji Wersalskiej, nie możemy także dawać obrazu działań zgromadzonych w Paryżu wychodźców polskich. Przystępujemy do rzeczy, a mianowicie do tego, w jaki sposób emigracja oddziaływała na przygotowany już przez rząd pruski i hr. Flottwella ferment w W. Ks. Poznańskim. Tutaj, *volens — volens*, powoływać się już musimy na akt oskarżenia, wypracowany przez prokuratora rządowego przy królewsko głównym sądzie pruskim przeciw obwinionym o zbrodnię stanu Polakom, usiłującym przywrócić byt Polski w jej granicach przed 1772 rokiem.

Ze względu, że ten akt oskarżenia opracowany został z niezmierną drobiazgowością i że z wyjątkiem kilku nieznaczących błędów, które sprostować nie trudno, odsłania wiernie, a nawet bezstronnie cały obraz usiłowań polskich w okresie od 1830-go do 1846-go roku, powoływanie się nań jest rzeczą wskazaną. W obecnych stosunkach, panujących w zaborze niemieckim, przy praktykowanej teraz stale bezceremonialności, gdy chodzi o Polaków, prokurator pruski nie zadałby sobie z pewnością takiego trudu i gmach oskarżeń zbudowałby na podstawie najpotworniejszych przypuszczeń i plotek. Ale przed 60-ciu laty liczone się z opinią nietylko ludów Europy, lecz także ze zrewolucjonizowaną ludnością Niemiec południowych i zachodnich, dlatego też prokurator starał się przekonać ogół o winie ze strony polskiej dowodami, nie dającymi się obalić. Sądy berlińskie miały opinię bezstronnych, a członkom ich zależało na tem, ażeby słynne powiedzenie owego młynarza z czasów Fryderyka II-go: „są jeszcze sędziowie w Berlinie” mogło być zawsze śmiało powtórzone.

I dlatego właśnie na ten „akt oskarżenia” nie powinniśmy patrzeć jako na elaborat tendencyjny,

lecz jako na misternie zbudowaną historję dążeń Polaków do odbudowania ojczyzny, w oświetleniu niemieckiem.

Prokurator pruski nie mylił się, gdy we wstępie wykazywał, że cały ruch wolnościowy kierowany był z Paryża, ewentualnie przez emigrację polską, a głównie przez Towarzystwo Demokratyczne, liczące około roku 1840-go do 3000 członków. Że towarzystwo za główny cel swój postawiło „działanie w interesie narodowości polskiej w duchu zasad czysto filozoficzno-demokratycznych” — to nie ulega żadnemu zaprzeczeniu. Przeciwnie, potwierdzeniem tego zdania jest „Manifest,” wydany w dniu 4 grudnia 1836-go w Poitiers, noszący na sobie 1315 podpisów. Zapoznanie się z tym manifestem, bodaj w ogólnych zarysach, jest konieczne dla zrozumienia prądów, które powiały od emigrantów na cały kraj polski, a więc i na ludność W. Ks. Poznańskiego. Oswobodzenie Polski i ustalenie jej jako państwa samodzielnego na zasadach demokratycznych, podług Manifestu osiągnięte być może trzema drogami głównymi:

1) Przez obznajomienie ludności z przyczynami upadku Polski i z jej położeniem historycznym względem całej ludzkości;

2) Przez wykazanie, że wszystkie układy, stanowiące lub uprawniające rozbiór Polski, są nieważne;

3) Przez upowszechnienie pojęć demokratycznych, których urzeczywistnienie doprowadzi nie tylko do bytu, ale również do pomyślnego istnienia Polski w przyszłości. Do przeprowadzenia jednak tych zamiarów potrzeba zjednoczenia wszystkich dzielnic i ruchu zbrojnego, równocześnie podjętego we wszystkich punktach kraju. „Przyszłe Polski powstanie — czytamy w „Manifestie” — nie może być samem tylko powstaniem, lecz musi być zarazem rewolucją społeczną, zapowiadającą

ujarzmionym ludom moralne i materialne wyswobodzenie, zniesienie poddaństwa, pańszczyzny, służebności i wszystkich tytułów." Zupełna wolność osobista, zrównanie stanów, uczestnictwo wszystkich we wszelkich urzędach, jednakowa opieka praw i religji, nakoniec nadanie własności włościom bez wynagrodzenia szlachty — oto podwaliny, na których Towarzystwo Demokratyczne dążyło do odbudowania Polski.

Od r. 1836-go rozpoczęła Centralizacja nawiązywać ściśle stosunki pomiędzy Paryżem a krajem i w tym celu wysyłano do różnych dzielnic emisariuszów, agentów, mających na celu upowszechnienie w jaknajrozleglejszy sposób „politycznych widoków i usiłowań." Do W. Ks. Poznańskiego wysłany został najpierw Walerjan Breański, po nim zaś przybył Tomasz Malinowski. Działalność ich była szczęśliwa i dla widoków Towarzystwa Demokratycznego bardzo pomyslna. Władze pruskie nie wiedziały jeszcze o niczem i dopiero w r. 1841 obudziła się w nich czujność. Pomimo to w setkach egzemplarzy po całym Księstwie kursowały różne wydawnictwa emigracyjne, głównie zaś: „Manifest," „Ustawa Tow. Demokratycznego," „Okólnik," „Przegląd dziejów," organ Towarzystwa „Pamiętniki" i „Kurs sztuki wojskowej" oraz „Regulamin wojskowy." Tę literaturę fachowo-wojskową uzupełnił następnie Ludwik Mierosławski swoją rozprawką p. t. „Wojna partyzancka." Wszystko to znajdowało wśród Poznańczyków zapalonych zwolenników i wszystko czytane było chciwie.

Ale rozczytywanie się w broszurach fachowych nie mogło wystarczać, więc znanemu z roku 1831-go generałowi Józefowi Wysockiemu i Ludwikowi Mierosławskiemu poleciła Centralizacja otworzyć kurs sztuki wojskowej. Nadto wysyłano ochotników na naukę w paryskiej szkole sztabu,

do szkoły inżynierji i artylerji w Metz, do fabryk prochu, broni, lania armat i t. p. W dalszym planie leżało założenie osobnej szkoły wojskowej.

Agitacja emisariuszów zrobiła swoje: w Wiel. Ks. Poznańskim wzrastać zaczęła, jak powiada akt oskarżenia, „natarczywa niecierpliwość do powstania,” a głównym krzewicielem idei demokratycznych było założone przez Karola Liebelta pismo p. t. „Rok.” Ze zwiększeniem liczby zwolenników i członków Towarzystwa Demokratycznego można było przystąpić do utworzenia oddzielnego „Komitetu Poznańskiego,” który też zawiązany został w r. 1843-im. Komitet przedewszystkiem zajął się zbieraniem funduszków na cele powstania, składki zaś odsyłane były do Francji i przelewane do wspólnej kasy.

Zdawałoby się, że nareszcie Centralizacja zdoła dokonać tego, co od dawnych czasów było niedościęgiem marzeniem ludzi, dobro kraju stawiających na czele wszystkich czynów swoich i myśli; zdawałoby się, że nareszcie objawiła się jednolitość w działaniu całego społeczeństwa polskiego. Centralizacja miała władzę rzeczywistą i posiadała mir we wszystkich dzielnicach polskich, ale ta władza nie sięgała tak daleko, ażeby mogła ukrócić samowolę niektórych ambitnych jednostek, pragnących działać na własną rękę i ażeby mogła zgnieść zawsze i wszędzie górujące u nas ambicje i ambicjki niepowołanych. Obok Komitetu utworzył się też wkrótce inny związek rewolucyjny, do którego przystąpili głównie mieszczenie, a zwłaszcza sfera rzemieślnicza. Komunizm i fanatyzm religijny był podstawą tego związku, agitację zaś prowadzono nie za pomocą wydawnictw Tow. Demokratycznego, lecz zapomocą broszur i pisemek ulotnych, jak np. „Partyzantka,” „Prawdy żywotne” i t. p. Na czele tych działaczy na własną rękę, zrywających solidarność, stał księgarz, fanatyk posunięty

do ostatecznych granic, Stefański, a sekundowali mu ludzie niewykształceni, a nawet nieokrzesani: młynarz Essmann i ślusarz Lipiński, obaj zapalenicy pierwszej wody i konspiratorowie „z urodzenia.” Szczególniej suchy, chudy, o śniadej cerze i fosforyczny blask rzucających oczach Lipiński, miał cechę wybitną wśród ludzi swojej sfery — zawziętość. Ten człowiek do końca życia lubił się otaczać nimbem tajemniczości, a nie mogąc już konspirować, udawał przynajmniej zawsze konspiratora i pozował na człowieka, który w ciągłej stoi korespondencji z najwybitniejszymi dyplomata-
mi świata. Takie postacie pojawiają się stale i wszędzie, ich zaś zaciekłość, zawziętość i ciasnota umysłu, pomimo najlepszych chęci, wydaje opłakane owoce. Może to za śmiałe twierdzenie, ale pomimo to nie waham się go postawić: że gdyby nie Lipiński i nie klucz, który on dorobił w celu otwarcia bramy fortecznej, to kto wie czy cały napad na Poznań byłby doszedł do skutku.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Stefański, Essmann, Lipiński i ci wszyscy, którzy się około nich zgrupowali, mniej jednak zwinili, aniżeli ambitny obywatel ziemski, Adolf Malczewski. Tamci, jak się rzekło, byli albo fanatykami i czcicielami nowych, nieprzetrawionych doktryn, albo też ludźmi o niskim poziomie umysłowym. U Malczewskiego poziom nie był także wysoki, ale ogłada towarzyska, stosunki, majątek wreszcie powinny mu były wskazać, że dla ludzi, chcących działać, jedna tylko być mogła droga wytyczna: karne kroczenie w szeregach. Czupurny, wrzaskliwy, uparty, był Adolf Malczewski wówczas i pozostał do śmierci typowym haraburdą, sejmikowiczem, gotowym do korda, szklanki i wszelkiego rodzaju pieniactwa. Chciał on odegrać rolę, chciał się wsławić, a przeszkadzała mu w tem Centralizacja. Ona go przygniatała, odsuwała w cień tego

szlachcica, któremu się zdawało, że strop nieba unieść można na ostrzach polskiej karabeli. Więc też Malczewski doprowadził do nowego rozdziału i zespoliwszy się z podobnymi do siebie osobnikami, pragnął całą sprawę powstania w W. Ks. Poznańskim zagarnąć w swoje ręce. Niech potomność wie, że nie jakaś-tam Centralizacja, ale Adolf Malczewski jest zbawcą odrodzonej, odbudowanej na nowo Polski! Do przeprowadzenia takich ambitnych zamierzeń potrzeba było ubiedz Centralizację paryżką i zanim ona zdąży przygotować wszystko, doprowadzić do wybuchu raptownego.

W Paryżu spostrzeżono grę Adolfa Malczewskiego, o działalności zaś Stefańskiego i popleczników jego miano nie bardzo dokładne informacje. Wobec tego z jednej strony postanowiono z podnieconą energją wzmódcz czynność emisariuszów, z drugiej zaś nie dopuścić do tego, ażeby jeden człowiek miał przyspieszyć wybuch i niewczesnym ruchem potargać wszystkie z takim trudem wiązane oczka zapuszczonej już w mętne wody sieci. Oprócz Breańskiego i Malinowskiego, którzy prawie już nie wyjeżdżali z W. Ks. Poznańskiego, w dzielnicy ukazywali się na dłużej lub krócej: Wiśniowski, Heltman i Alcyata. Wszystkie ich próby ukołysania jeszcze na czas pewien wrzenia, które opanowywało coraz szersze masy, okazały się płonne. Nie można już było marzyć o doskonałym wyćwiczeniu wojskowem przyszłych bojowników za wolność. Wybuch wisiał od roku 1844 w powietrzu, jak przynaję Rettel i Alcyata, których zdaniem wszystkie nieporozumienia, wszystkie ambicje i wszystkie odcienia musiałyby zniknąć w chwili rozpoczęcia kroków zbrojnych. Zdanie to podzielała większość Centralizacji, opierał mu się zaś przezworny, choć ogromnie arbitralny, Malinowski. Za tę odrębność przekonań Malinowski musiał ustąpić i jego miejsce

zajął jeszcze więcej od Malczewskiego ambitny — Ludwik Mierosławski.

W zreformowanej przez wejście Mierosławskiego Centralizacji uchwalono przedewszystkiem nie zwlekać długo i ułożyć łatwy do zrozumienia „regulamin wojskowy powstania narodowego”, przygotować ogólny zarys planu wojny, wreszcie ułożyć listę związkowych, którzyby byli w pogotowiu na pierwsze hasło wyruszyć „dla objęcia politycznych lub wojskowych posad.”

• Plan powstania i rola Ludwika Mierosławskiego.

Odtąd na czoło wysuwać się zaczęły dwie postacie, które odegrać miały najznamienniejszą rolę w całym ruchu: Heltman i Mierosławski. Pierwszy jako naczelnik wszystkich emisarjuszów raz jeszcze spróbował przekonać się, czy w celu lepszego przygotowania nie dałoby się odroczyć wybuchu i dlatego objeżdżać zaczął wszystkie dzielnice Polski; drugi wyruszył w lutym 1845-go roku do Poznania, ażeby wymową i perswazją nakłonić Malczewskiego do zaniechania planu powstania oddzielnego. Oboj przekonali się, że „wszystkie odłamy napierają wprawdzie do wybuchu,” ale „przysposobienie nie jest jeszcze do tego stopnia posunięte, iżby już teraz można się było spodziewać pomyślnego skutku.” Heltman w dodatku ani nawet nie chciał słuchać o tem, ażeby ogólne powstanie we wszystkich ziemiach polskich wybuchnąć miało już w r. 1845-ym. Pomimo to gwałtowny i ambitny Malczewski nie przestawał prowadzić polityki samodzielnej, postępowanie zaś jego odznaczało się taką jawnością, takim zaniechaniem wszelkich środków ostrożności, że ostatecznie zwrócić to musiało uwagę władz pruskich. Szczyściem nazwać też można, że rząd pruski, zamiast badać, śledzić i odczekać dalszego rozwoju wypadków, kazał uwieźć Mal-

czewskiego. To uspokoiło na razie burzliwych stronników tego ambitnego wodza stronnictwa; pozabawieni głowy poddali się władzy Centralizacji Wersalskiej.

Podczas pobytu swojego w Poznaniu Ludwik Mierosławski przede wszystkim zwrócił uwagę na konieczność wypracowania statystyki wojennej i dokonanie tego dzieła wzięli na siebie: Józef Mikorski, Władysław Kosiński, Kurnatowski i Buchowski. Równocześnie statystykę wojenną co do Prus Zachodnich opracować miał Nepomucen Sadowski.

Na uspokojeniu pewnem Malczewskiego nie skończyły się jeszcze kłopoty Centralizacji co do W. Ks. Poznańskiego. Pozostał jeszcze fanatyczny, przesadnie gorliwy Stefański ze swoimi zwolennikami i sprzymierzeńcami. Oliwa do ognia, przepalającego duszę tego fanatyka, znalazła się szybko.

W Wielkiem Ks. Poznańskim pojawił się wtedy człowiek, rozpoczynający walkę z dogmatami Kościoła i jeżeli kiedyś przystąpią historycy narodu polskiego do skreślenia żywotów różnych odszczepieńców, to na jednym z pierwszych miejsc umieszczony być musi ksiądz Jan Czerski. Człowiek ten, wysoko wykształcony, gorliwy w studjach teologicznych, postawił jeszcze jako wikarjusz katedry Poznańskiej, trzy tezy: 1) że Papież nie jest od Boga ustanowioną głową Kościoła; 2) że nauka Kościoła rzymsko-katolickiego sprzeciwia się w wielu razach nauce Chrystusa Pana i 3) że księża nie żyją w duchu chrześcijańskim. Pomimo takich „herezji” ks. Jan Czerski mianowany został proboszczem w Pile i to właśnie w chwili, gdy w Trewirze wystawiono sukienkę Chrystusa, utkaną przez Najświętszą Pannę.

Czerski wystąpił energicznie przeciw urządzeniu pielgrzymek do Trewiru, a chociaż nie był Polakiem z gruntu rzeczy, to jednak grał na nucie

polskiej i narazie utworzył osobną gminę, zowiącą się: „Apostolsko-chrześcijańsko-katolicą.”

Fanatyk Stefański, i w tym wypadku się nie mylił, widząc, że rząd pruski nie robi Czerskiemu żadnych trudności i że gmina Czerskiego jest właściwie tylko „Niemiecko-Katolicą” (tak się później sama nazywała), z całą sobie właściwą energją wystąpił przeciw odszczepieńcowi. Wywołało to niepokój w kraju, a przesadzona gorliwość Stefańskiego znów zwróciła uwagę rządu. Wtedy już Stefański, podrażniony z jednej strony przez Centralizację, z drugiej zaś przez gminę Czerskiego, posunął się tak daleko, że zwołał do Torunia w lecie 1845 roku zjazd przedstawicieli wszystkich części dawnej Polski. Na zjeździe tym zdecydować miało wybuch powstania bez względu na opinię Centralizacji i Komitetu Poznańskiego. Rząd pruski czuwał już. W listopadzie uwięziony został Stefański, Lipiński i wielu innych ze sfery rzemieślniczej.

I znów zdawało się, że pewne nastąpiło uciszenie, a Centralizacja będzie miała swobodną rękę. Niestety! w tym właśnie czasie przybyli do Poznania: Wiesiołowski z Galicji wschodniej oraz Ludwik Gorzkowski i Lisowski z Krakowa, ludzie tym samym ożywieni duchem, jakim odznaczał się Malczewski i Stefański. Ci ludzie, w gorącej krwi kąpieli, wystąpili ze skargami na Komitet Poznański, że on najniepotrzebniej opóźnia wybuch powstania. Kiedy jeszcze delegaci owi znaleźli poparcie wśród wielu członków Towarzystwa Demokratycznego, wtedy nie pozostawało nic innego, jak tylko wybrać nowy Komitet, złożony ze wszystkich warstw narodu.

Zreasumujmy teraz podkład, który miał doprowadzić do wybuchu. Oto jak nam się przedstawia dzisiaj ta sprawa:

1) Centralizacja chce jeszcze odroczyć powstanie.

2) Adolf Malczewski w ambicjach swoich wygórowanych chce podjąć walkę na swoją rękę.

3) Fanatyczny Stefański dąży do poruszenia mas katolicko-polskich.

W takiej chwili występuje Heltman i on, który niedawna jeszcze był za odwlekaniem, teraz dochodzi do wniosku, iż dalsze opóźnianie mogłoby narazić sprawę polską na nieopisane straty. Te zwalczające się pomiędzy sobą obozy, ta wieczna rozterka, doprowadziły nawet Heltmana do wniosku, że jeżeli cały spisek nie ma być przedwcześnie odkryty, to należy wybuch przyspieszyć gwałtownie. Z takim zdaniem wystąpił też Heltman po zbadaniu sytuacji w Towarzystwie Demokratycznym. I nie mógł znaleźć oponentów, gdyż sprawa była jasna.

Tu jednak wytworzył się nowy i powiedzmy najważniejszy szkopol: Centralizacja nie posiadała funduszków. Na wyćwiczenie oficerów i na zakupienie broni we Francji i Angli potrzeba było pieniędzy, a tych nie było. Wprawdzie Mierosławski obliczył, że w samem W. Księstwie Poznańskim i Prusach Zachodnich znajduje się 45000 strzelb myśliwskich; wprawdzie chciał wszystkie narzędzia gospodarskie: kosy, zęby od bron, widły i t. p., przerobić na broń obosieczną; ale to wszystko nie mogło wystarczać. Wysłano tedy agentów między ludy słowiańskie, ażeby przez współczucie dla sprawy polskiej przysły z pomocą, setki jednak ztąd płynące były tak skąpe, że starczyły zaledwie na potrzeby bieżące.

Nie zważając na te wszystkie kłopoty W. Ks. Poznańskie przygotowywało się do powstania, i wreszcie Mierosławski skreślił na mapie dawnej Polski następujący plan ogólnego powstania polskiego:

„Korzystając z przerażenia i z chwilowej niepewności w działaniu, jakieby *naturalne* (!), nastąpić musiały w rządach zaborczych przez jednoczesne wybuchnięcie powstania we wszystkich częściach dawnej Polski, powstańcy mieli się niespodzianie koncentrować w pewnych punktach zboru⁷. Takimi punktami dla W. Ks. Poznańskiego były trzy miasta: Buk, Pleszew i Rogowo; dla Prus Zachodnich: Chełmno, Toruń i Gombin; dla Górnego Ślązka, Tost pod Koźlem.

Mówimy tu przedewszystkiem o W. Ks. Poznańskim, ponieważ jednak wybuch przygotowany był *we wszystkich ziemiach polskich*, przeto dodać należy jeszcze, że dla Krakowa i Galicji punktami zbornymi dla koncentracji wojsk ochotników polskich wedle planu Mierosławskiego były: Lwów, Kraków i Nowe Miasto nad Wisłą; dla Podola i Wołynia: Konstantynów, Zwiahel, (Nowogród wołyński) i Korzec; dla Litwy i Żmudzi: Mińsk, Wilno i Rosienie.

Wobec tak przygotowanego planu Mierosławski kazał połączyć się oddzielnym korpusom w ten sposób, że ochotnicy z W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich połączyć się mieli pod Kołem w Królestwie Polskiem, korpusy ze Ślązka Górnego i Królestwa Polskiego zejść się miały pod Częstochową, korpusy z pod Krakowa i Nowego Miasta spotkać się powinny pod Małogoszczą, a korpusy z pod Lwowa, Konstantynowa, Zwiahela i Korca pod Kowlem. Wreszcie korpusy z pod Gombina i Rosień punkt styczny miały pod Kownem, całkowity zaś zebrany korpus złączyłby się z wileńskim korpusem pod Grodnem, oraz z powstańcami Mińska pod Słonimem.

Dalszy plan Mierosławskiego opiewał w ten sposób:

„Wszystkie te oddziały powinny były następnie ciągnąć ku Piotrkowu i Rownu i sformować

się we dwie armie: zachodnią, obejmującą korpusy z Wielko-Polski, Krakowa i Galicji, i wschodnią, złożoną z korpusów Mało-Polski i Litwy.

Obie armie posunąć się miały ruchem zaczepnym ku Modlinowi dla wzięcia tej nie ukończonej wówczas jeszcze fortecy. Gdyby uderzenie to nie udało się, oba korpusy zwrócić się powinny były ku granicom Galicji, dla ściągnięcia tam do siebie sił nowych.

Dowództwo w Królestwie Polskiem miał powierzone Bronisław Dąbrowski, na Żmudzi Magdziński; na Litwie Rohr; w Prusach zachodnich pułkownik Biesiekierski, kiedy dowództwo w Poznańskiem Mierosławski sobie zachował.

Instrukcje tych dowódców były następujące:

Magdziński zbierze wszystkie siły z Szawłów, Telszew i Rosień na Żmudzi oraz z Prus Wschodnich; z połączonemi oddziałami pociągnie pod Kowno dla opanowania tego miasta, następnie zaś uda się przez województwo Augustowskie naprzeciw korpusu powstańców przez Dąbrowskiego zebranemu. Gdyby zajęcie Kowna się nie udało, wówczas Magdziński przeprowadzi swój korpus przez dolny Niemen dla połączenia się z Dąbrowskim.

Rohr ściągnie na Litwie wszystkie siły pomiędzy Szczawą i Bugiem, połączy się jak można najprędzej z powstaniem Augustowskiem i Podlaskiem, i pociągnie ku dolnemu Bugowi, dla oddania się w tem miejscu pod rozkazy Dąbrowskiego.

Dąbrowski zgromadzi pod Siedlcami wszystkich powstańców, jakich tylko będzie mógł zebrać, połączy się nad rzeką Nurzec, niedaleko od Bugu, z kolumnami ze Żmudzi i Litwy ciągnącemi; uda się z tą wschodnią armią ku Modlinowi. Tutaj się połączy z powstańcami lewego brzegu Wisły, to jest z armią wschodnią.

Biesiekierski zgromadzi wszystkie oddziały z Prus Zachodnich nad Drwęcą, przejdzie tę rzekę, pomaszeruje przez województwo Płockie, przeprawi się przez Wisłę pod Dobrzyniem i złączy się pod Kołem z kolumnami od Rogowa i Pleszewa ciągnącymi. Jeśliby się ten ruch nie udał, wówczas Biesiekierski zorganizuje w województwie Płockiem wojnę odporną. Dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego przeznaczone są, jak to już wyżej powiedziano, trzy punkty zbioru powstańców: Buk, Rogowo i Pleszew. Wszyscy powstańcy z obwodów zachodnich: Międzychodzkiego, Międzyrzeckiego, Wolsztyńskiego, Wschowskiego, Kościańskiego, Bukowskiego, Szamotulskiego i Poznańskiego, zbierać się mają za jeziorami Słupin i Niepruszewa pod Bukiem. Dowództwo nad nimi obejmie oficer z emigracji.

Przednia straż, złożona z mieszkańców Poznania i okolic, od dwóch do półtrzeciej mili dookoła, pod dowództwem Feliksa Białoskórskiego, Aleksandra Ponińskiego i Białkowskiego starać się będzie twierdzę poznańską opanować. W tym celu powstańcy z Poznania, w cztery oddziały zebrani i przez czterech dowódców prowadzeni, uderzyć mają na twierdzę, na szepę artylerji, na stajnie huzarskie i na mieszkania znakomitszych cywilnych i wojskowych urzędników. Gdyby się przedłużył bój uliczny i barykadowy, naówczas powstańcy z okolic, którzy korzystając z ciemności nocy, zebrałiby się jako korpus obwodowy w bliskości miasta, wpadną do niego. Gdyby się to wszystko nie udało, wówczas atakujący cofną się ku Bukowi, tam przez miejscowych dowódców do rozmaitych oddziałów zgromadzonej siły poprzydzielani zostaną. W takim przypadku wszystkie powstania okręgu zachodniego tworzyć będą korpus rezerwowy Wielko-Polski, który w okolicach Sremu i Obornik ściągnie do siebie drugie zaciągi wschodniego okręgu. Po zajęciu obu tych miast i staraniem

ich obwarowaniu, oraz po urządzeniu przepraw na Warcie dla przejścia tej rzeki, korpus obwodowy potrójne będzie miał przeznaczenie:

1) Bronić przystępu do Poznania nadciągającym oddziałom wojsk posiłkowych i pojedynczo je rozbijać;

2) Utrzymać przez Oborniki i Śrem komunikację z czynnym korpusem na prawym brzegu Warty, oraz bronić obu tych miast. Pierwsze z nich będzie siedziskiem władz rządowych Wielkiego Księstwa, z drugiego naczelny dowódca udzielać będzie rozkazów na oba brzegi Warty.

3) Korpus rezerwowy będzie usiłował uderzać na załogę Poznania, dopóki by wojska pruskie z Pomeranji i Ślązka nie nadciągnęły. Za ukazaniem się tychże uderzy na nie całą siłą. Gdyby te natarcia się nie udały, wówczas korpus rezerwowy przejdzie pod Śremem lub Obornikami Wartę, dla złączenia się na prawym jej brzegu z korpusem czynnym.

Gdyby zaś opanowanie miasta i twierdzy Poznania udało się za pierwszym uderzeniem, wówczas pierwszy zaciąg zachodniego okręgu należeć będzie do czynnego korpusu, dla wzmocnienia którego z Buku i Poznania do Pyzdr pociągnie. Tutaj na spływie Prozny i Warty założony zostanie obóz oszańcowany. Drugi zaciąg, ze wszystkich części Wielkiego Księstwa, zbierze się przeto koło Poznania, tam się obwaruje i bronić będzie prowincji od napadu pruskiego. Gdyby wszelako przeważnej sile ustąpić musiał, wówczas z Księstwa Poznańskiego pociągnie ku korpusowi czynnemu i z tymże się połączy.

Pierwsze zaciągi z obwodów Pleszewskiego, Odolanowskiego, Ostrzeszewskiego, Krotoszyńskiego i Krobskiego zbiorą się pod dowództwem Apolinarego Kurnatowskiego w Pleszewie i sformują się w kolumnę marszową. Dla zakrycia tej operacji

zrobiony będzie fałszywy atak na szwadrony w Ostrowie stojące, — Kurnatowski zaś wkroczy w Województwo Kaliskie, starać się będzie miasto Kalisz zająć, i zwrócić się, czy to się uda lub nie, przez Pyzdry albo Turek do Konina, nie daleko od Koła, aby się tu z kolumną, z Rogowa przybyłą, połączyć. Jeśliby tego wojska rosyjskiego uskutecznić nie dozwolili, wówczas połączą się kolumny Pleszewa i Rogowa niedaleko Pyzdr, przy spławie Proсны z Wartą.

W Rogowie, pomiędzy jeziorami, przy źródłach rzeki Wełny, zgromadzą się pod rozkazy Mierosławskiego oddziały obwodów: Inowrocławskiego, Bydgoskiego, Szubińskiego, Wyrzyskiego, Chodzieżskiego, Czarnkowskiego, Obornickiego, Wągrowieckiego, Gnieźnieńskiego, Sredzkiego, Śremskiego, Wrzesińskiego i Mogilnickiego.

Dla odwrócenia uwagi dowódców wojskowych od tego poruszenia i zasłonięcia tegoż, oraz dla opanowania jednocześnie niektórych składów broni, wykonać mają, częścią prawdziwe, częścią fałszywe ataki: Stanisław Sadowski na Bydgoszcz, Albin Malczewski na szwadrony, stojące w Inowrocławiu, Gniewkowie i Glinkach, Adolf Malczewski na Gniezno, a nakoniec hr. Ignacy Bniński na Piłę.

Skoro powstańcy wszystkich obwodów zbiorą się pod Rogowem, wówczas Mierosławski po cztero lub pięcio-dniowym wyćwiczeniu ich wkroczy do Królestwa Polskiego."

Cały ten plan, skreślony, jak to już powiedzieliśmy, na zwykłej mapie młodego ucznia gimnazjum, Władysława Łąckiego, świadczy o szalonej wprost lekkomyślności jego twórcy. Te „korpusy,” ten ciągły optymizm, przebijający się w słowach: „gdyby się nie powiodło, to jednak zrobić tak, a nie inaczej,” to lekceważenie sił trzech przeciwników, to wreszcie uznanie za dostateczne do sprawności wojennej „cztero lub pięcio-dniowe ćwiczenia,”

daje miarę płytkości umysłu ambitnego 32-letniego wodza i upatrzonego zbawcy kraju. Wśród spiskowców byli przecież wytrawni wojskowi, którzy służbę swoją odbyli w armji pruskiej, ci też powinni byli zwrócić uwagę na absolutną niemożliwość przeprowadzenia planu. Niestety! ogół nie tylko bezkrytycznie przyjmował wszystkie zalecenia Mierosławskiego, ale co gorsza, widział w tym przybyłym z Paryża i urodzonym we Francji emigrancie strategika pierwszorzędnej wagi! Mierosławski umiał mówić, umiał nawet porzywać słuchaczy, tem się też tłómaczy wpływ, jaki zdobył w Towarzystwie Demokratycznym.

Dziś wiemy już, kim i czem był Mierosławski, ambicja wygórowana, pyszałkowatość i niewielka wiedza wojskowa, zostały dostatecznie odsłonięte i wyjaśnione, wiemy o jego lekkomyślności, objawionej w sposób jaskrawy pod Krzywosądzą w r. 1863-in, wiemy wreszcie o intrygach, których nie zaważał się imać, gdy chodziło o dogodzenie własnej zarozumiałości. Wówczas jednak był on gwiazdą wschodzącą na niebie polskiem i za tę gwiazdę uchodził długo, nawet po fatalnie zakończonym ruchu w 1846-ym roku, nawet po nieudanem powstaniu 1848-go roku. Dopiero Krzywosądza otworzyła oczy i okazała Mierosławskiego, jeżeli nie tchórzem, to w każdym razie ambitnym wicherzycielem. Zresztą, czyż się można dziwić współczesnym Mierosławskiego rodakom, że uważali go niemal za bożyszcze, skoro przecież wiarę w jego wiedzę i energję mieli nawet Niemcy, którzy później powierzyli mu komendę nad wojskiem w Badenji! Sprawiedliwość przytem wyznać nakazuje, że Mierosławski, w chwili przygotowywania wybuchu, odznaczał się ogromną ruchliwością i pracowitością. Oprócz planu ogólnego, który przytoczyliśmy powyżej, opracował on jeszcze bardzo szczegółowe instrukcje dla komisarzów i oficerów okręgowych.

Te instrukcje odegrać miały następnie wielką rolę w procesie, wytoczonym spiskowcom i osadzonym w więzieniu Moabitu w Berlinie. Tworzyły one *corpus delicti* w ręku prokuratora i dlatego nie możemy ich tutaj nie przytoczyć, przynajmniej w głównych punktach. Wychodząc z założenia, że „władza rewolucyjna jest jedna, absolutna,” instrukcja dla komisarzy powiada, iż ta władza, ten rząd, wybrany przez sprzysiężenie, jedynie stanowić może prawa. Ten absolutyzm trwać ma dopóty, dopóki Polska „we względzie swego geograficznego i politycznego położenia od wszelkich nieprzyjaciół zewnętrznych, jak od niebezpieczeństwa kontrrewolucji nie zostanie uwolniona.” Wtedy dopiero zwołany będzie „sejm normalny.”

Jedna i absolutna władza narodowa podzieliła całą „Polskę powstającą” na 5 wielkorządztw: Prusy i W. Ks. Poznańskie, obie Galicje, Ruś, Litwę i Polskę Kongresową. Dla każdej z tych części przeznaczony był z góry wielkorządca, wymieniony w planie wojennym Mierosławskiego.

„Każde wielkorządztwo — czytamy dalej — dzielić się będzie na okręgi, których granice stanowić mają dzisiejsze obwody i powiaty.” Na czele okręgu stać miał komisarz, przedstawiony przez wielkorządcę, a zatwierdzony przez rząd absolutny, który również zastrzegł sobie prawo mianowania wójtów dla gmin oddzielnych. „Dla utrzymania porządku w rewolucji wielkorządca miał mieć przydanych dwóch „inspektorów generalnych,” będących zarazem naczelnikami policji. Obowiązki inspektorem nałożono ważne i uciążliwe. Mieli oni nie tylko objeżdżać wszystkie obwody i ściśle pilnować, ażeby rozkazy rewolucyjne były wykonywane, ale także obowiązkiem ich było rozszerzenie powstania, przełamywanie wszelkiego oporu względem woli rządu, przedstawianie do kary zbaczających z drogi rewolucyjnej, nieposłusznych lub na-

wet obojętnych. Tacy ludzie stawieni być mieli przed Trybunał Rewolucyjny, ustanowiony dla pierwszej instancji przy każdym wielkorządztwie. Drugą instancję tworzył rząd, ferujący wyroki swoje bez wszelkiej apelacji. „Każdy, kto by odmawiał posłuszeństwa rozkazom urzędnika, powinien być z pod opieki prawa wyjęty.”

W ten sposób urządziwszy kraj cały na papierze, pomyślano o rzeczy najważniejszej, to jest o przeprowadzeniu wybuchu powstania. Dokument to nadzwyczaj ciekawy i dlatego przytaczamy go tutaj w całości:

„W jednym i tym samym dniu i o jednej i tej samej godzinie powstanie cały naród w sposób następujący: Skoro tylko sprzysiężeni uwolnią się od swoich ciemieżców, zgromadzą całą ludność gminy i oddadzą ją wójtowi pod zarząd. Wójt wybierze z jej grona zdolnych do noszenia broni i wyśle swój oddział pod dowództwem wojskowego do miasta okręgowego, czy ono będzie już zajęte przez powstanie, czy też jeszcze nie będzie. W ostatnim wypadku uzbrojona i najpierwej występująca gmina będzie wzorem dla wszystkich innych gmin tego okręgu, a dowódca jej dowodzi wszystkimi innemi. Po zebraniu się nastąpi ogólne uderzenie na miasto. Gdyby to uderzenie się nie udało, wówczas komisarz okręgowy, który powinien być ciągle pośród uderzających obecny, prowadzi całą uzbrojoną siłę okręgu na inny, przez siebie obrany punkt tegoż okręgu. W pierwszym wypadku, jeżeli miasto okręgowe skutkiem zręcznego natarcia lub oblężenia zostanie opanowane, komisarz okręgowy zrobi wszelkie potrzebne rozporządzenia, ażeby: 1) miasto zewnątrznie obwarować, 2) rozdzielić siłę uzbrojoną i 3) uorganizować rewolucyjnie wszystkie żywioty pozostałe, jakie mieć będzie pod ręką.”

W miastach rewolucja odbyć się miała w sposób równie ściśle określony w instrukcjach, a więc komisarz zbiera całą ludność i dzieli ją na „zaciągi.” „Do pierwszego zaciągu przeznaczy wszystkich najwięcej dobrych chęci okazujących i najzdolniejszych do noszenia broni, a następnie tych, którzy będą najlepiej uzbrojeni. Masę tę podzieli w sposób wojskowy na bataljony, szwadrony, kompanje i oddziały, odda je najzdolniejszemu oficerowi, zaopatrzy na 3 dni w żywność i materiały wojenny, wreszcie wyprawi do strategicznego punktu zboru.

Po wymaszerowaniu pierwszego zaciągu komisarz rozdzieli pozostałą ludność na dwie kategorie. Do pierwszej przeznaczy ludzi zdolnych do noszenia broni, a którzy nie zostali przydzieleni do pierwszego zaciągu. Druga ta masa, pod nazwaniem „*drugiego zaciągu*,” przejdzie pod dowództwo najzdolniejszych instruktorów wojennych i będzie przez dni kilka wprawiać się w elementarne obroty; następnie, zaopatrzona podobnie jak pierwsza, wyprawiona zostanie do punktu zebrania prowincjonalnego, gdzie oddana będzie pod rozkazy dowódcy korpusu rezerwowego.

Pozostanie na koniec *trzeci* i ostatni zaciąg rewolucyjny, złożony z osób bez różnicy płci i wieku, które do warsztatów wojennych i zakładów pociągowych przeznaczone zostaną. Komisarz rozdzieli ludność tę podług rzemiosł, zdolności i nawyknień każdego i każdemu oddziałowi wskaże oznaczone i obowiązkowe zatrudnienie. W tym celu rozdzieli on przedewszystkiem rzemieślników do robót wojskowych użyć się mogących; urządzi ich w kompanje rzemieślnicze pod komendą kapitanów i poruczników rzemieślniczych, umieści ich w osobnych domach i wydzieli im robotę. Reszta ludu, mająca się głównie pracami rolniczymi zajmować, ma być w domach pozostawiona — zosta-

wać będzie pod zwierzchnictwem sołtysów, którzy będą mieli obowiązek ścisłą jej utrzymywać kontrolę.

Kompanje rzemieślnicze mają być uzbrojone, ćwiczyć się będą w pierwszych obrotach, bronić miejsc warownych okręgu i prowadzić wojnę miejscową w przestworze okręgu. Kompanje gminne są również obowiązane ćwiczyć się w obrotach wojennych i wojnę miejscową prowadzić."

Jak widzimy, Centralizacja i Mierosławski tak byli pewni, że na rozkaz dany z Paryża „cała ludność,” jak jeden mąż uchwyci za broń, że snuli daleko idące plany. Utworzyłaby się tym sposobem armja krociowa, jeżeli nie miljonowa, i „elementarnie” wyćwiczona do działań wojennych. Słodkie iluzje i wprost dziecinnie lekkomyślne planowania!... Broń, pieniądze, żywność — to już takie bagatelki, które absolutny wielkorządca w całej instrukcji zbywa pogardliwym milczeniem i tylko mimochodem wspomina, że „żaden właściciel nie może odmówić kontrybucji własności swojej na dobro publiczne, skoro mu pokwitowanie udzielone zostanie.” A gdy odmówi? No! to pod sąd i basta! Niechętnych, lub chociażby obojętnych, jego zdaniem, być nie może, a gdyby się nawet znaleźli, to załatwi się z nimi rząd na poczekaniu. Oto będą „wyjęci z pod prawa” i oddani pod sąd. Oddaleni od kraju, choć niewątpliwie utrzymujący z tym krajem pewne czucie, emigranci paryscy przecenili swój wpływ i siły, emisariusze zaś, przebiegający z licznymi niebezpieczeństwami ziemie polskie od krańca do krańca, nie mieli należytego pojęcia o nastroju. Nie wiedzieli, albo też wiedzieć nie chcieli, że stanowczy przeciwnik ryzykownego powstania, wielki filantrop i patryjota, a przede wszystkim człowiek wpływowy, Karol Marcinkowski, umiał, bądź co bądź, paraliżować dążność emigracji i umiał zgrupować około siebie wszystkie

żywioly umiarkowane. Do umiarkowanych i nie życzących sobie powstania na terytorjum W. Ks. Poznańskiego należała przeważna większość księży. O tem Centralizacja wiedziała dobrze i dlatego w „Instrukcjach” specjalny rozdział zatytułowano: „O duchownych.”

„Tam — głosi instrukcja — gdzieby proboszcz, z uczuć patriotycznych znany i zdolny, nie był wybrany na komisarza okręgowego, pozostanie na miejscu przy ostatniej rezerwie. Najmłodszy duchowni mają być przydzieleni jako kapłani do czynnego wojska pierwszego i drugiego zaciągu. Kapłan, okazujący nieposłuszeństwo, traci charakter duchowny i użyty będzie stosownie do zdolności swoich.”

Te groźby miały wpoić w ogół przekonanie, że rząd ma twardą, żelazną, rękę, w rezultacie jednak nie przestraszały one ani partji Marcinkowskiego, ani, co najważniejsze, ludu, na którym cała akcja z natury rzeczy musiałaby się oprzeć.

Skład żywiotów rewolucyjnych i sposób prowadzenia walki.

Podług projektu Mierosławskiego powstanie miało się odbyć w sposób niezwykły, nigdy dotąd nie praktykowany. „Napać ma być rodzajem niesporów Sycylijskich; należy działać przez podejście i pochwylenie, do czego użyć należy całej dyskreacji i doskonałego pomiędzy sprzysiężonymi porozumienia.” Tak głosił przyszły wódz na licznych zebraniach, które od 4 do 11 lutego 1846-go roku odbywały się w różnych punktach W. Ks. Poznańskiego niemal codziennie. Na zebraniach tych nie widywano ani większości obywatelstwa, ani duchowieństwa, ani lekarzy, prawników i wogóle ludzi z t. zw. stanu wyzwolonego, chociaż z drugiej strony przyznać trzeba, że nie domino-

wała tutaj również młodzież, która u nas przy każdej innej sposobności zwykła akcję zabierać w swoje ręce. Pomędzy sprzysiężonymi bardzo mały, wprost znikający procent stanowili młodzieńcy poniżej lat 20, ci zaś, którzy zostali wtajemniczeni w plany Mierosławskiego, jak tego dowiodło późniejsze ich życie, odznaczali się wyjątkowymi charakterami i zdolnościami. Wystarczy, gdy wymienimy z tych młodych konspiratorów głośnego następnie posła i mówcę, Kazimierza Kantaka, lub zasłużonego wielce, a do dnia dzisiejszego żyjącego hr. Władysława Łąckiego z Posadowa.

Piszząc o powstaniu Poznańskim nie można właśnie na ten rys nie zwrócić uwagi, jak również trzeba położyć nacisk na to, że cały ruch miał cechy szczerze demokratyczne. Ludzi utytułowanych nie było, z bardzo małym wyjątkiem, w szeregach sprzysiężonych, ogół zaś składał się ze szlachty drobniejszej, rządców gospodarczych, kucharzów, młynarzów i t. p. Mieszkańcy wsi okazywali więcej chęci dobrych, co świadczy, że agitacja tutaj lepiej była prowadzona, aniżeli w miastach i miasteczkach. Włościanie trzymali się zupełnie na uboczu, a nawet w niektórych miejscach, szczególnie w Prusach Zachodnich, wprost wrogą przybierali postawę. W Klonówce np. chłop, Kuna, nie tylko nie dał się porwać wymowie jednego z agitatorów, ale jeszcze „przeklinać zaczął Polskę, w której źle się działo i której odbudowanie było nieszczęściem.“ Zresztą, stosując się ściśle do wskazań Mierosławskiego, sprzysiężeni nie mogli wciągać szerokiej mas do robót przygotowawczych. Dyskrecja była rzeczą konieczną, a pomimo to nie została ona utrzymana do końca. Jedyńie komisarze okręgowi znali wszystkie tajemnice, reszcie sprzysiężonych udzielano informacji tylko najnieodzowniejszych. Tajemnica zaś cała polegała na wykonaniu następującej operacji:

„Wymarsz sprzysiężonych ze wszystkich okolic do punktu obranego tak powinien być wyrachowany, ażeby wszyscy jednocześnie w porze noonej zeszli się w bliskości tego punktu. Mogą być przytem użyte wozy, a przy tym hufcu znajdować się winni wszyscy oficerowie okręgu pod jednym dowódcą.“ To przyzwolenie na użycie „wozów“ miało się niebawem okazać wielkim błędem.

Po skutecznieniu jednoczesnego na całej przestrzeni kraju uderzenia, dalsze ruchy odbywać się miały podług wyraźnego już planu dalszego, który nakazywał: „1) Wymarsz gmin uzbrojonych do miast okręgowych, obwarowanie tychże, założenie warsztatów wojskowych i rozdzielanie do ruchu siły, która stanowić ma zawiązek korpusu. 2) Wymarsz wyborowej siły ruchomej z miast okręgowych do punktu strategicznego.“ Jako punkt zgromadzenia się ośmiu okręgów powstańczych oznaczono okolicę miasteczka Bnin pomiędzy jeziorami: Niepruszewskiem i Słupskiem. Tutaj stanąć miało „jądro rezerwowego korpusu Wielkopolski“ i stąd korpus ten posunąć się miał ku Poznaniowi, gdzie sprzysiężeni powinni zręcznie i szybkim uderzeniem opanować cytadelę, czyli t. zw. „Kernwerk.“

Opanowanie cytadeli stanowiło punkt ciężkości całego planu, a Mierosławski tak był pewny swego, że ze zwykłą sobie stanowczością zawyrokował: „Jeżeli zdobędziemy „Kernwerk“, to całe oswobodzenie Księstwa dokonane zostanie *w ciągu dwu tygodni*“. Patrząc dalej przez różowe szkiełka, wódz naczelny uznał, że część wojska polskiego będzie można wycofać, przerzucić za granicę rosyjską do Pyzdr. Dla obrony przed możliwym napadem Prusaków, pragnących odbić ziemię i miasto, wystarcza, zdaniem Mierosławskiego, „drugi zaciąg“ rezerwowy. Że w okolicach Pyzdr kor-

pus poznański w połączeniu z korpusem Polskim „okaże wyższość swoją, nad siłami rosyjskimi”, to dla wodza najmniejszej nie ulegało wątpliwości, pobiwszy zaś wojska rosyjskie, korpus mógłby natychmiast zrobić odwrót i pośpieszyć na pomoc drugiemu zaciągowi przeciw Prusakom.

Ale nawet na wypadek, gdyby miało się nie udać zdobycie „Kernwerku”, Mierosławski wcale nie traci fantazji bujnej. Wtedy połączą się wszystkie siły, dążące z dwóch stron przez Oborniki i Srem i rozporządzając doskonałymi promami na Warcie nie dopuszczają do niesienia pomocy zamkniętym w Poznaniu Prusakom. Te „promy”, służyć mające do przerzucania z jednego brzegu na drugi całych korpusów polskich, są czemś tak śmiesznym, że nie potrzeba być wcale wielkim strategikiem, ażeby pyszałkowatość i lekkomyślność wodza polskiego w właściwem przedstawić świetle. Pływające, gdy tego będzie potrzeba, na Warcie korpusy polskie, oczywiście zadanie będą miały bardzo łatwe. Nic więcej nie potrzeba, jak tylko „rozbijać pojedynczo” posiłki pruskie, ciągnące do Poznania, gdyby zaś Prusy ściągnęły znacznie-sze siły z Romeranji i Szlązka, to wtedy zrobi się *generalny atak wszystkimi połączonemi zaciągami* i naturalnie w proch się zetrze armię w pikelhaubach.

Rozczytując się dzisiaj w tem wszystkim, doznaje się dwojga uczuć: bólu i wstydu. Doprawdy, boleć i wstydzić się dziś potrzeba za to, że w gronie sprzysiężonych ludzi poważnych i wielu wysłużonych oficerów, wierzone w możność udania się awanturycznej imprezy. Tylko zaślepienie dla osoby Mierosławskiego tłumaczyć może tych męźnych i najlepszych chęćiami służenia ojczyźnie przejętych bojowników, którzy na rozkaz awanturnika z Paryża gotowi byli życie swoje dać w ofierze.

Fantazja, fantazja i jeszcze raz fantazja, nie będąca bynajmniej cechą ciężkich, małolotnych umysłowo Poznańczyków, ale fantazja, jakbyśmy dziś powiedzieli, „sugestjonowana” przez impet i brawurę awanturniczego, a przede wszystkim lubującego się w szerokim, rozlewnym frazesie pyszałka, objęła ludzi zkadınąd bardzo trzeźwych. A ten frazes, taki nasz, taki bajecznie płytki, wije się nawet przez całą „instrukcję” Mierosławskiego.

Należy teraz zrobić powstanie w Poznaniu!

Jak? Rada bardzo prosta! Oto jednocześnie z powstaniem na całym przestworzu kraju będzie uskuteczniiony napad na „Kernwerk” i wywołany ruch w Poznaniu. Ataku tego dokona rezerwa, która zajmie nieukończone domy za miastem i... „albo uda się do miasta, no!.. albo cofnie się pod Buk do sztabu korpusu rezerwowego”. W każdym razie, tak czy owak się stanie, „siłą wywołane zostanie powstanie w mieście”, a cztery hufce, pod dowództwem, „czterech mężnych dowódców” uderzą na wchód do cytadeli, na stajnie kawalerji, szwadrony huzarów, mieszkania wyższych urzędników cywilnych i wojskowych i na szopy artylerji.

Bardzo to wszystko pięknie. Cóżby się jednak stało, gdyby huzarzy, artylerzyści postawili zacięty opór? Na to przewidujący Mierosławski znalazł radę na poczekaniu: oto uderzy rezerwa polska i przedłuży walkę barykadową, a gdy to się nie uda, wszyscy zatem cofną się pod Buk.

Ale i wtedy jeszcze pozostaje niezmiernie smutna alternatywa: co będzie, gdyby wielka „siła rosyjska miała się zjawić nad Wartą pomiędzy Kołem a Pyzdrami”? Oto, „w tem przewidzeniu,” (*sic*) komisarz i oficerowie wrzesińskiego okręgu obmyślą wcześniej środki założenia w tym punkcie polowego blokhauzu, na klinie między dwiema rzekami, z dwoma mostami, na dwóch ich ramionach”. Mierosławski jest tak pewny siebie, że dodaje, iż

ten klin z dwoma mostami będzie punktem głównym i miejscem wkroczenia do Polski-Kongresowej całego, czynnego korpusu poznańskiego”.

Doprawdy! czytając dziś z oddalenia dziesiątków lat, te karkołomne pomysły Mierosławskiego, mimowoli przypominamy sobie sentencję łacińską: *Difficile est satiram non scribere*. Te „promy”, te „mosty”, tworzone na poczekaniu na rzekach nie wielkich wprowadzie, ale wartkich, to przerzucanie korpusów od Buku do Pyzdr wtedy, gdy drogi komunikacyjne trochę inaczej się przedstawiały, niż obecnie — wszystko to sprawia i ból i wstyd. A przytem ta, że użyjemy najwłaściwszego wyrażenia, „głupia” wiara, iż ludność polska wznieci walkę „na całym przestworzu ziem dawnej Polski”. Czyż to wszystko nie jest ogromnie czcze, dziecinne, awanturnicze i lekkomyślne? A, przecież, to podnosimy poraż drugi, nie były to dzieci, które szły w wir wypadków, kierowane ręką rządu, który władzę sobie uzurpował. To, że Wysocki powagą swojego imienia osłaniał Mierosławskiego, nie dowodzi niczego. Zkąd jednak wzięli się ludzie prawdziwie poważni, którzy sankcjonowali tego rodzaju „junacką” imprezę?

A jednak ci mężczyźni, idący na lep frazesów, nie byli to przecież ludzie, chcący odegrać rolę wybitną dla zachcianki egoistycznej. Nie! po stokroć nie! Oni wierzyli w urzeczywistnienie planów utopijnych. I dlatego tym właśnie bohaterom „wierzącym” należy się wspomnienie, należy się przechowanie ich nazwisk potomków. Byli oni z tych którzy:

„O wschodzie słońca wstawają do pracy

„I spać się kładą o wieczornej zorzy.

„Ale, w grobowcach są jeszcze junacy

„I słudzy Boży”.

Wybuch.

Rząd pruski, który poprzednio dosyć obojętnem, a w każdym razie pobłażliwym okiem patrzył na agitację „Wersalczyków”, oraz na działalność w W. Ks. Poznańskim rozmaitych emisariuszów, ciągle jeszcze bawił się, że tu użyjemy porównania, „jak kot z myszą.” Obserwował, badał i o wszystkim najdokładniejsze miał relacje. Jeżeli partja umiarkowanych nie wierzyła w powodzenie akcji „na całej linji”, to cóż dopiero wierzyć w to miały rządy zaborcze? Czasami tylko, gdy ktoś zbyt czupurnie występował i zbyt nieostrożnie działał, brano go pod klucz. Tak stało się np. z wybitnym emisariuszem, Elżanowskim. Poza tem rząd pruski tolerował rozmaitych agitatorów *minorum gentium*, którzy dla nadania sobie pewnej aureoli, przedstawiali się jako *eks-uczestnicy* powstania Listopadowego i wojny 1830/31. Ci ludzie grasowali po W. Ks. Poznańskim i... dobrze im się działo.

Rząd pruski, jak powiedzieliśmy, lekceważył całą akcję. Że ten rząd wiedział o wszystkim, mamy tego dowód w akcie oskarżenia i w mowie prokuratora podczas procesu t. zw. Moabickiego. Kto wie, może ten rząd liczył nawet, iż nastąpi otrzeźwienie, a gdy ono zbyt długo nie przychodziło, zabrał się, zrazu łagodnie, do tropienia głównych agitatorów. Liczył niezawodnie na to, że schwycawszy i osadziwszy w więzieniu naczelników, z całą resztą upora się już bardzo łatwo. Jak się okazało, rachuba była trafna, wypadki jednak, zaszły w Krakowie, gdzie nie odczekano wyznaczonego na powstanie terminu dnia 21 lutego, jak również zachowanie samego Mierosławskiego i jego nieostrożność, skłoniły wreszcie do szybszego działania władze pruskie. Nie doczekawszy się spełnienia nawet w części szeroko zakreślonych planów „powstania na całym przestworze Polski,” Ludwik

Mierosławski został aresztowany. A stało się to właśnie w chwili, kiedy nie W. Ks. Poznańskie, ale Prusy Zachodnie, gdzie sprawa powstania stała źle, postanowiły przez zbrojny ruch wpłynąć na rozgrzanie umysłów.

Wywołanie ruchu w Prusach Zachodnich i cała agitacja naczelną powierzona była Sewerynowi Elżanowskiemu. Agitacja szła opornie, co też spowodowało wreszcie przedwczesne aresztowanie Elżanowskiego. Odtąd ruchem agitacyjnym kierował Władysław Kosiński, który jednak mało wyjeżdżał na miejsce i rad i wskazówek udzielał z oddalenia, z Poznania. Mierosławski, który wielką wagę przykładał do powodzenia wybuchu zbrojnego w Prusach Zachodnich, niejednokrotnie zjeżdżał się z Kosińskim w Krakowie i zachęcał do szczególniejszej gorliwości. Kosiński używał do agitacji Nepomucyna Sadowskiego, który licząc na fanatyzm religijny, przyrzekał w Prusach Zachodnich zgromadzić pod broń do 5000 ludzi. Nad tym oddziałem, równie wątpliwym co do cyfry, jak wszelkie inne, objąć miał komendę pułkownik Biesiekierski z Poznania, tymczasem jednak komisaryat obwodowy, objął proboszcz ks. Józef Albrecht Stanisław Łobodzki, człowiek w starszym wieku, liczący już wówczas 47 lat. Do pomocy ks. Łobodzkiemu służył głównie praktykant gospodarczy Puttkammer-Kleszczyński i Florjan Ceynowa, uczeń medycyny z Królewca. Ks. Łobodzki przekonał się jednak wkrótce, że przechodzi jego siły objęcie Komisaryatu obwodowego, a zwłaszcza sprawowanie tych obowiązków w chwili samego wybuchu. Na razie nie było nikogo, ktoby mógł zastąpić Łobodzkiego, wobec czego zaczęto nalegać na przyspieszenie ruchu. Ostatecznie, ciągle licząc na owe fikcyjne 5000 ludzi, zdecydowano się rozpocząć ruch zbrojny w Prusach Zachodnich w nocy z dnia 21 na 22 lutego 1846 roku. Jak zwykle, plan zakreślony był

śmiało, instrukcja bowiem dla sprzysiężonych brzmiała jak następuje:

1) W nocy tej wziąć miasto Starogród, pozabijać strażę wojskowe, zabrać stajnię huzarską i arsenał.

2) Pozabijać członków resursy zgromadzonych na balu, oficerów i urzędników cywilnych, jako też wszystkich, którzyby opór stawiali. Żołnierzy wychodzących z kwater pokonać.

3) Zabrać kasy publiczne.

4) Po udaniu się tego wszystkiego (co oczywiście dla spiskowców i Mierosławskiego było jak słońce jasnym) ogłosić rewolucję, zamianować komisarza powiatowego i utworzyć trybunał rewolucyjny. Ponieważ zaś ówczesny biskup, ks. dr. Sedłag w Pelplinie, mógł przez odezwy do duchowieństwa pokrzyżować wszystkie plany, przeto postanowiono dodać mu adjunkta, któryby kierował jego krokami.

Po ótrzymaniu tej instrukcji ks. Łobodzki zwołał posiedzenie, na którym potworzono oddziały wojsk (oczywiście na papierzel), a zdobyciem Starogrodu miał się zająć Ceynowa. Inne ni oddziałami kierować mieli Puttkammer Kleszczyński, inspektor gospodarstwa Stanisław Lipiński i karczmarz Jan Mazurowski.

Akt oskarżenia, któremu z oddalenia 60-ciu lat przyznać trzeba z całą bezstronnością, iż mniej więcej wiernie przedstawił cały przebieg przygotowań do powstania, stanowczo mylny zawiera ustęp, gdzie jest mowa, iż do przyłączenia się do ruchu stosowano „groźby,” lub też przyobiecywano rzeczy nieziszczalne, jak np. rozdzielanie gruntów pomiędzy wszystkich tych, którzy ich nie posiadają, a posiadać pragną. W procesie, który się później rozegrał w Moabicie, ks. Łobodzki zaprzeczył stanowczo, jakoby wyrazić się miał: „za to rolami wynagrodzeni zostaniecie.” Tak nie było, ks. Ło-

bodzki rzekł tylko: „Przedsiębiorcze dzieło ku chwale Boskiej, macie się bić za chwałę i ojczyznę. I tak, jak wy, uzbrajają się w tej chwili wszyscy nasi bracia polscy.” W dalszym ciągu akt oskarżenia jest jednak ścisły, i dlatego podług niego streścimy wybuch powstania w Prusach Zachodnich, zanim przejdziemy do wybuchu w samym Poznaniu:

Chcąc wykonać napad na Starogród, ks. Łobodzki kazał się zgromadzić ludziom w lesie starogrodzkim... i z owych 5000 stawiło się aż 30 ochotników. Ale i ten oddziałek miał się jednak zmniejszyć niemal do połowy, narazie bowiem podnieceni ochotnicy zaczęli z wolna uciekać z szeregów. Puttkammer Kleszczyński przeto zaledwie z kilku osobami zjawił się pod Starogrodem, a kazawszy stanąć saniom, wsiadł na konia i zameldował głównodowodzącemu Ceynowie, że przyprowadził swój „oddział.” Sam Puttkammer buńczucznie wyglądał na koniu w siwej czapce barankowej i z pałaszem u boku. Ta buńczuczność skłoniła też Ceynowę, że wysłał Puttkammera po resztę ochotników do lasu. Przybrawszy sobie przeto adjutanta w osobie Antoniego Świtale, Józef Puttkammer Kleszczyński wbiegł do lasu, gdzie zastał jeszcze gromadę ludzi, złożoną z 70-ciu do 100 osób. Taka siła *wielka* dodała jeszcze więcej ducha Puttkammerowi, nie zważając też wcale na to, że mniejsza część zaledwie posiadała strzelby, a większa część tylko przyniosła z sobą pałki, siekiery, widły i t. p. ustawił oddział swój w dwie kolumny i sekcjami po 5-ciu ludzi, ruszył ku Starogrodowi. Pomimo tej lekkomyślności młodzieńczej, objawionej przez Puttkammera Kleszczyńskiego, trudno jednak dać wiarę, ażeby on zachęcał podkomendnych swoich, rozbudzając waśń religijną. Akt oskarżenia twierdzi, że Puttkammer wymyślił bajkę, iż ewangelicy chcą wyrznać katolików i dlatego trzeba iść swoim

na pomoc. To pewna, że ten młody dowódzca lubił dużo mówić, czy jednak te przemowy jego były porywające, należy mocno wątpić. Mówiliśmy już o Kunie, który „przeklinał Polskę” wobec dowódcy, gorzej jednak przytrafiło mu się z setnikiem Haesem, któremu dowódzca kazał stajnie huzarskie osadzić. Haese odmówił spełnienia rozkazu, a przykład jego fatalnie oddziałął na usposobienie całego szeregu. „Wtedy Puttkammer nie umiał już sobie dać rady — mówi zgodnie z prawdą akt oskarżenia — kazał stanąć oddziałowi, ażeby zdać relację Ceynowie i naradzić się z drugim dowódcą, Mazurowskim.” Wszyscy dowódcy zwątpili wobec tego o powodzeniu i ostatecznie musiano ludzi rozpuścić do domu. Ale Puttkammer Klezczyński nie dał jeszcze za wygraną. Po powrocie do swojego oddziału wezwał ludzi potrzykoć, ażeby poszli za nim. Napotkał na opór ogólny. Wówczas wziął krucyfiks w rękę i kazał oddziałowi swojemu zaprzysiądz, że jeden drugiego nie zdradzi i na pierwsze wezwanie stawi się znów w szeregach.

W taki smutny sposób skończył się atak na Starogród, po którym wielkie rzeczy obiecywał sobie Mierosławski. Lepiej niewatpliwie, że się tak stało, bo przynajmniej ci straceńcy, jak ks. Łobodzki, Ceynowa, Mazurowski, Lipiński i Puttkammer-Klezczyński, nie zostali ośmieszeni, a owa przysięga w lesie ma nawet pewien urok poetyczny, godny pędzla malarza.

Gorzej daleko stało się gdzieindziej z oddziałem Bronisława Dąbrowskiego, syna znanego Henryka, wodza legjonów. Bronisław Dąbrowski, ufny w sławę nazwiska, a nie posiadający ani odwagi, ani wiedzy wojennej swojego ojca, nie oglądając się na nic i nie zważając na żadne instrukcje, dopuścił do tego, mianowany przez Mierosławskiego komendantem jednego korpusu, że sprzysiężeni

przeszli granicę rosyjską i dotarli aż do Siedlec. Tym ruchem na Siedlce kierował Potocki, którego Dąbrowski nagle opuścił zupełnie, a zniknąwszy z widowni, ogłosił sprawę za straconą. Oddział Potockiego nie mógł się w Siedlcach pochwalić zdobytymi laurami, awanturnicza ta bowiem wyprawa zakończyła się jedynie zastrzeleniem stojącego na warcie żołnierza. Ucieczka Dąbrowskiego sparaliżowała resztę planów i oddział powstańczy unknął w najwyższym popłochu z powrotem do Prus.

Zdawałoby się, że te dwie próby powinny były wykazać, iż wywołanie powstania „na całym przestworze Polski” jest mrzonką. Niestety! szła zbyt wielkie przybrał już rozmiary, ażeby nawet takie dwa kubły zimnej wody mogły wpłynąć na uspokojenie umysłów. Co więcej, nawet aresztowanie Ludwika Mierosławskiego, który był przecież duszą wszystkiego, nie przeszkodziło snuć dalej bujne plany. Mierosławski został aresztowany w dniu 12-tym lutego, inni zaś, wyznaczeni z góry dowódcy przyszłych wojsk, oraz główni agitatorowie, również albo zostali ujęci, albo też w obawie przed odpowiedzialnością zbiegli zagranicę. Tymczasem, jak widzieliśmy, jeszcze w dziewięć dni później po aresztowaniu Mierosławskiego próbował Ceynowa swego niefortunnego ataku na Starogród. Jeszcze ciągle łudzono się, ufano własnym siłom, a nadzieje te wzrosły, gdy z Krakowa nadeszły pomysłne i ośmielające spiskowców wiadomości. Wobec tego, nie zważając wcale na to, co się dzieć będzie mogło w innych dzielnicach Polski, Komitet Poznański postanowił podjąć próbę zbrojnego powstania w dniu 3-im marca.

Jak wiadomo, marzeniem Mierosławskiego było zdobycie „Kernwerku.” Tę wolę teraz chcieli spełnić Poznańczycy, a zarazem chcieli uwolnić z więzienia Mierosławskiego i innych naczelników.

Cały ustęp w akcie oskarżenia jest w głównym zarysie zgodny z prawdą i z notatkami osób, biorących udział w procesie, a żyjących do dnia dzisiejszego.

„Od porucznika Mackiewicza — czytamy, — otrzymał Władysław Niegolewski odcisk wojskowy, podług którego kazał porobić we Wrocławiu klucze do bram twierdzy.” Uzupełniamy ten szczegół dodatkami, że wykonaniem owych kluczków zajął się wspomniany już w innem miejscu tej książki ślusarz Lipiński. W dalszym ciągu mówi akt oskarżenia: „Sądzono, że niektórzy oficerowie, wielu podoficerów i pewna część żołnierzy pochodzenia polskiego sprzyjają rewolucji, albo też, że przynajmniej się do niej przyłączą, i stąd miano nadzieję, że forteca da się łatwo opanować w napadzie.”

Główna warownia fortecy t. zw. „Kernwerk” leży na północy, ale zupełnie blisko miasta. Sądzono, że wielu spiskowych potrafi się nawciskać do fortecy i ukryć aż do właściwej pory.

„Na znak puszczenia rakiety, przez drugich spiskowych z miasta dany, za prostych żołnierzy przebrani dwaj podoficerowie mieli się jako żołnierze idący na wartę zbliżyć do bramy głównej, jak gdyby szli z warty od komory mundurowej i rozbroić szyldwacha.

„Dalej chciano za pomocą tych spiskowych, którzy się powślizgiwali, bramę forteczną od strony wewnętrznej otworzyć podrobionymi kluczami i zgromadzonych u bramy wpuścić, a wartę przy bramie rozbroić.

Nakoniec część spiskowych miała pozostać na dziedzińcu fortecznym, drudzy mieli zaraz wpaść do koszar, drzwi izb poosadzać, stojące na korytarzach karabiny pobrać na uzbrojenie swoich i brać do niewoli każdego żołnierza, któryby się z rewolucją nie łączył. Prócz tego leżało w pla-

nie powstańców, poobsadzać wszystkie wchody miasta, aby nie wypuścić od władz żadnych rozkazów na prowincję. I most „chwaliszewski,” jako też szopa działowa miały być osadzone, aby w forcie reformackim stojący żołnierze nie mogli odebrać żadnych rozkazów, i żeby dział stojących w szopie użyć nie było można. Stanowisko to zostało poruczone nadleśniczemu Hipolitowi Trąpczyńskiemu. Z początku miano zamiar komendanta fortecy, generała porucznika Steinäckera zaraz podczas parady o godzinie 12-tej w południe na placu Wilhelmowskim zastrzelić. Naczelnicy wybuchu byli jednakże tego zdania, że lepiej będzie zrobić to dopiero później, na wieczór, przed jego mieszkaniem, co przecież nie dało się do skutku doprowadzić, gdyż generał jeszcze przed godziną 9-tą udał się do fortecy.

Znak uderzenia na fortecę miał być dany przez rakiętę.

„Dnia 3-go marca w południe prezydent policji w Poznaniu otrzymał kilka wiadomości o zamierzonym ruchu. Wiadomości te zwiększały się następnie i stały się nareszcie tak pewnymi iż o 8-mej wieczorem nie było można wątpić, że ruch wybuchnie tej samej nocy; dlatego też natychmiast wspólnie z komendantem miasta przedsiębrał środki dla odparcia ataku.

„W tym stanie rzeczy naczelnicy powstania postanowili uprzedzić władze; zmienili godzinę, w której powstanie miało wybuchnąć, naznaczyli je na 8-mą i trzy kwadranse; zmienili również miejsca zbiorów. Postanowili mianowicie, iż zbiory te odbędą się na placu Schmergen, na cmentarzu wojskowym, zwanym Schilling i na cmentarzu św. Wojciecha.

„Ale te zmiany spóźniały właśnie działanie. Sprzysiężeni za miastem nie byli na czas uwiadomieni, a nawet wielka liczba tych, którzy mieszkali

w mieście, wyszła już była z domów, gdy zmiany te zostały zadecydowane; stąd też, kiedy naczelnicy przybyli na nowowskazane miejsca, nie wielu znalazłszy ludzi, zwątpili o skutku i cofnęli się. To samo stało się ze sprzysiężonymi, którzy udali się na dawniej wskazane miejsca; ci nie znaleźli ani naczelników ani broni. Od strony zachodniej oczekiwani spiskowi ze wsi Górczyna i Junikowa nie przyszli wcale do miasta. Ich naczelnicy otrzymali wcześniej wiadomości o położeniu rzeczy i uznali, że wobec wytworzonych, nowych okoliczności, najrozsądniej będzie wcale się do miasta nie udawać. Tymczasem na omentarzu garnizonowym i około Szeląga nagromadziło się dużo spiskowych, częścią z miasta, częścią z okolicy. Stawili się oni punktualnie na czas oznaczony, a pomiędzy innymi byli tu także ludzie, których poprzednio na piaskach pod miasteczkiem Swarzędem zebrał młynarczyk Deręgowski i przywiódł pod Szeląg.”

Zadanie Deręgowskiego musiało być wcale nie łatwe, gdy wiadomo, że rząd wiedział już o przygotowaniach. Z piasków Swarzędzkich do Szeląga nie ma innej drogi, jak przez Wartę, przeprowadzenie się przeto znacznego oddziału dokonane być musiało z nadzwyczajną ostrożnością, ażeby nie zwróciło uwagi. Od Szeląga do samego Poznania prowadzą dwie drogi: jedna, dolna, tuż nad brzegiem Warty, do niedawnych jeszcze czasów, t. j. do chwili, gdy ta piękna siedziba nie została czysto niemieckim *Schillingiem*, służyła za punkt ulubionych spacerów; druga droga, górna, szosowa, wychodzi wprost na „Kernwerk.” Spiskowcy podążać mieli obu drogami i złączyć się tuż pod „Kernwerkiem.”

Duszą powstańców w tych stronach, t. j. od Szeląga do omentarza wojskowego, byli Niegolewski i Chamski. Szczególniej pierwszy z nich nad-

zwyczajną na każdym kroku wykazywał energję. Był wszędzie, on też przywiózł poprzednio broń w okazałej nawet ilości i złożył ją na wzgórzu pomiędzy Szelągami a wsią Naramowicami, własnością rodziny historyka Moraczewskiego będącej. Oddział przeto tutejszy był może sformowany najlepiej, a pomimo to nie wyruszył w drogę. Dlaczego? Oto dwie na to złożyły się przyczyny: najpierw niezgoda naczelników, a powtórnie obawa przed środkami ostrożności, które, dowiedziawszy się o spisku, kazał pospiesznie przeprowadzić komendant fortecy poznańskiej.

Dosyć dobrze przedstawiał się również oddziałek, zgromadzony na cmentarzu garnizowanym. Liczył on z górą 300-tu ludzi i był względnie dobrze zaopatrzony w broń i amunicję. Wszyscy gotowi byli do walki na śmierć i życie, gdy nagle zjawilo się na cmentarzu dwóch oficerów pruskich, Polaków, z przestroga. Oświadczyli oni wręcz, że środki, przedsięwzięte przez komendanta fortecy, są tego rodzaju, iż wzięcie „Kernwerku” i opanowanie miasta stało się dla spiskowców obsolutnem niepodobieństwem. Niegolewski nie dowierzał temu, a kiedy widział, że oddział przygotowuje się do rozpierzchnięcia, porywczy i gwałtowny, zaczął ostre czynić wymówki Chamskiemu za złe wykonanie poleceń. Późniejszy znakomity mówca parlamentarny miał się umeść nawet do tego stopnia, że wy dobył pistolet i groził Chamskiemu „palnięciem w łeb.” Wszystko to jednak nie mogło na nowo wzbudzić zapału. Duch upadł w szeregach i ostatecznie tak samo, jak tam pod Starogrodem, sprzysiężeni po złożeniu przysięgi, że będą milczeli o wszystkim, porozchodzili się w różne strony.

O takim wyniku przygotowań, o odkryciu planów i o przedsięwzięciu ze strony władz wojskowych daleko idących środków obronnych nie wie-

dział nic dowódca, który na czele swojego oddziału, dążąc od wschodu, po drugiej stronie Warty, zaatakować miał fortecę poznańską. Dowódcą tym był ojciec autora tej pracy, Hipolit Trąmpeczyński, pierwszy w W. Ks. Poznańskim, a zapewne i w całej Polsce, leśnik z wyższem, uniwersyteckiem wykształceniem, autor licznych artykułów fachowych. Trąmpeczyński, jako zarządzający ogromnemi lasami hr. Tytusa Działyńskiego w Kurniku, miał zadanie o tyle ułatwione, że w każdym czasie mógł był zwadywać ludzi pod pozorem urządzania polowań, obław i t. p. Tak też czynił i tak uczynił w przeddzień oznaczonego terminu wybuchu.

Na wezwanie zwierzchnika stawilo się z rozległych dóbr i lasów kurnickich z górą 200 osób, stawili się również wtajemniczeni spiskowcy z miasteczek: Bnina, Kurnika, Zaniemyśla, a nawet Środy. Kiedy jednak ogół, ten obojętny ogół, dowiedział się, że tu nie o polowanie zwykłe chodzi, lecz o wypłoszenie z ziemi wielkopolskiej grubszej zwierzyny pruskiej, wtedy lęk ogarnął większość, która też, korzystając z tego, że zwierzchnik nie nalega, ani tem mniej grozi, lecz przemawia do uczucia patriotycznego i religijnego, z uradowaniem opuściła punkt zborny. Pozostało zawsze jeszcze przeszło stu ludzi, którzy też pod wodzą Trąmpeczyńskiego okazali gotowość ruszenia na zdobycie Poznania. Trąmpeczyński wsiadł do przygotowanego wózka, obok niego usiadł prawdziwie nieustraszony, zapałony i dzielny akademik Paternowski, a na tylnych siedzeniach zajęli miejsca dwaj inni sprzysiężeni. Reszta bądź na wozach drabiniastych, bądź pieszo podążała za dowódcą. W ten sposób orszak minął wieś Gądkę i znalazł się blisko Poznania. Wówczas Trąmpeczyński kazał się oddziałowi zatrzymać, zgromadził wszystkich około siebie i raz jeszcze przemówił z całą otwartością: „Kto się boi, ten niechaj się cofnie! Jeszcze pora po temu. Za

chwile będzie już za późno!" Słowa te wywarły ten skutek, że oddział... zmalał do liczby 60-ciu osób.

Nieustraszony nigdy, a przytem wielki idealista, jakim pozostał do końca życia, Trąpczyński nawet z taką drobną garstką nie zawahał się przypuścić szturm do miasta od strony wschodniej. Sześć wozów zbliżało się ku Poznaniowi w grobowem milczeniu. Cokolwiek się stanie później, o to nie pytano, ale natomiast wszyscy byli pewni, że za pomocą podrobionych kluczyw Lipińskiego co najmniej bramę forteczną od strony przedmieścia Chwaliszewa zastaną otwartą i na warcie ludzi przychylnych. Iluzja przysła, gdy wózek dowódcy podjechał pod tę bramę. Zamiast przychylnego powitania, pierwszy z szyldwachów krzyknął głośno pruskie: „*Wer da?*” („kto tam?”). Spiskowcy nie znali hasła, którem uspokoiłoby żołnierza, ale jeszcze i teraz powinni byli spostrzedz, że sprawa źle stoi i że coś się popsło w wadliwie zestawionej maszynie. Rozsądek nakazywał cofnąć się, zawrócić, opuścić wozy, rozproszyć się po okolicy i nie ratować straconej placówki, lecz ratować życie własne. Tego szybkiego zorientowania się w sytuacji zabrakło dowódcy. Nie namyślając się długo, Trąpczyński kazał najbliższemu sobie siedzącemu Górskiemu dać ognia do podoficera. W odpowiedzi wartownicy w liczbie trzech wystrzelili również. Ale jeszcze w takich warunkach nie pomyślał dowódca o poddaniu. Trąpczyński, nie stracił przytomności, kazał zaciąć konie i przejechał przez bramę, przez most na dopływie Warty Cybinie, przez całe, długie przedmieście Chwaliszewo. Tutaj dopiero rezultat celnych strzałów ze strony dobrze wyćwiczonych żołnierzy pruskich okazał się fatalny. Dzielny Paternowski padł trupem na miejscu, Trąpczyńskiemu kula karabinowa strzaskała szczękę, dwaj inni zaś sprzysiężeni ciężkie odnieśli rany. Wierzył

w to Trąpczyński, że z chwilą, gdy zdoła przebić się do placu Działowego, gdzie był jeden z punktów zbornych spiskowców i zkaąd blisko już do omentarza wojskowego, t. zw. „garnizonowego,” znajdzie się w otoczeniu swoich ludzi i uniknąwszy niebezpieczeństwa, będzie mógł rozpocząć prawidłowe działanie. Jak już wiemy, nawet taki szczęśliwy wypadek dotarcia do placu Działowego nie byłby go uchronił od zguby: spiskowcy z Szelağa i omentarza wojskowego na kilka godzin przed atakiem od strony Chwaliszewa rozeszli się po domach.

Dlaczegoż jednak nikt z tych przysięgających uroczyście nie przenknął się i nie uprzedził śmiałków z Kurnika? To tajemnica wielce „mądrej” organizacji Mierosławskiego i niestety! kłótni dowódców.

Za wózkiem, na którym stygły zwłoki nie-szczęśliwego Paternowskiego, za wózkiem, przesiąkniętym krwią czterech rannych, z dowódcą na czele, mknęła reszta wozów. Jakiż to cel wyborny dla salw małego bodaj plutonu! Ba! Mierosławski nie tylko pozwalał, ale zalecał używanie wózków i wozów przy... atakach. Wielki strategik!

W ten sposób dojechano do mostu Chwaliszewskiego, oddzielającego przedmieście od Poznania. Nawet jeszcze ten most zdołano przebyć, ale tutaj, przy wjeździe na ul. Szeroką, stanęło murem nieprzebytym wojsko pruskie. Teraz dopiero spostrzegł Trąpczyński całą grozę położenia, więc też zeskoczył z wózka, ciągle silnie brocząc krwią, a przypomniawszy sobie, że w pobliżu mieszka szwagier, major pruski, Tikelmann (obaj byli żonaci z siostrami, pannami z linji katolickiej znanej rodziny kurlandzkiej, von der Osten-Sacken), wpadł do bramy domu i ukrył się u szwagra z zamiarem przeczekania tutaj pierwszej burzy, a następnie ucieczki zagranicę. Zawiódł się. Major pruski speł-

nił swoją powinność i ranny dowódca wydany został władzom pruskim.

Reszta wozów została przytrzymana. Znaleziono na nich wiele broni i amunicji, na szczęście jednak ludzie, znajdujący się na dwóch wozach, zdołali zbiedz jeszcze w porę, trzy ostatnie zaś wozy zawróciły i zdołały zniknąć w ulicach i uliczkach Chwaliszewa.

Był to jedyny przelew krwi i właściwie może mają rację ci, którzy cały wybuch w r. 1846-ym w W. Ks. Poznańskim nazywają tylko „epizodem rewolucyjnym.” Mniejsza jednak o nazwę! Rzecz zakreślona była bardzo szeroko i miała wszelkie cechy tak rozległe pomyślanego powstania, o jakim ani przedtem, ani później nie pomyślano. W tem miejscu godzi się jednak obronić sprawców nieudanej imprezy od zarzutu, jaki im później ludzie trzeźwi stawiali. Gdyby Trąmpezyński był cośkolwiek bodaj wiedział o niesnaskach, wybuchłych w Szelągu i na cmentarzu garnizowanem, gdyby wiedział o warjackim kroku Bronisława Dąbrowskiego, gdyby mu dano znać o wykryciu całego spisku i przedsięwzięciu środków odporno obrończych przez władze, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przecież z taką garstką, jak 60 ludzi, nie byłby się rzucił na zdobycie ważnego punktu wschodniego fortecy poznańskiej.

Na drugi dzień, albo raczej nocą z dnia 3-go na 4-ty marca 1846 go r., dokonano w Poznaniu i w całym W. Księstwie licznych rewizji, których rezultatem, obok wykrycia znacznych zapasów broni i amunicji, było aresztowanie ogromnej liczby sprzysiężonych. Znakomite usługi inkwizytorom pruskim oddał pod tym względem młynarz Neymann, który wyśpiewywał wszystko, jak słowik. Na jego też zeznania powołuje się często prokurator podczas procesu Moabickiego.

Wrażenie w kraju i na emigracji.

Rozwianie za jednym podmuchem nieprzyjaznego wiatru wszystkich złudzeń, wykazanie naoczne, że nadzieje Towarzystwa Demokratycznego, iż da się wywołać powstanie zbrojne na „całem przestworzu Polski” są utopią, musiało deprymująco oddziaływać na cały rozumny ogół polski. Cieszyć mogłaby się z tego partja umiarkowana Marcinkowskiego, ale taka radość nie byłaby przecież żadną satysfakcją dla ludzi, miłujących kraj swój gorąco i pragnących tylko tego kraju wzrostu i rozkwitu. Mrzonki, wylęgte w Paryżu i Wersalu, przypłacił śmiercią męczeńską w Galicji człowiek do wielkich prawdziwie rzeczy powołany, Teofil Wiśniewski. W Poznaniu zginął dzielny Paternowski, a setki rodzin przygnębione zostały aresztowaniami, których ostatecznym rezultatem mogła być również dobrze śmierć z ręki kata, jak długoletnie, ciężkie więzienie. A rzeź galicyjska, a to widowisko, dane światu całemu w postaci kłótni wewnętrznych, porywczosci — wszystko to sympatji nie mogło podnieść dla sprawy polskiej. Wpływ emigracji musiał zmaleć, jeżeli nawet nie zredukować się zupełnie do zera.

Spostrzeżono to w Paryżu i dlatego „jeden z pielgrzymów,” Leon Zienkowiez, wystosował do sędziów prusko-niemieckich „Głos polski”, który jednak nie wywarł z pewnością żadnego wpływu na bieg następnego procesu, nie rozczulił twardeych serc jurystów pruskich, nie usprawiedliwił Polaków przed światem, ale przeciwnie wywołać mógł co najwyżej uśmiech pobłażliwy dla tej wiary narodu w uczciwość ludów Europy.

Powrócimy później jeszcze do tego listu, a tymczasem zwrócić musimy uwagę na najważniejszy dokument, mający usprawiedliwić działalność demokracji, a mianowicie na rozprawę, cyto-

waną wielokrotnie przez nas, Jana Alcyaty p. t. „Wypadki w 1846 roku”. Tutaj sam autor przyznaje na wstępie, że sądząc rzeczy po zamęcie, jaki panował, należałoby wyrzec, iż „krajowi naszemu brakowało szlachetnego natchnienia i gotowości do poświęceń”, że „przewodnictwu brakowało wszelkiego rozsądku”, że „naród przedstawiał smutny obraz obojętności tam, gdzie były rozum i siła na miejscu, rzucały się do dzieła bez celu, bez wiedzy i mocy same poziome ambicje, robiące sobie igraszkę z patriotyzmu i nadziei polaków, z ich mężstwa, sławy i dobrego imienia u świata”. Alcyata twierdzi i dowodzi w długim bardzo wywodzie, że tak nie było, zmuszony jednak jest przyznać, że „zupełnego porozumienia co do wybuchu w emigracji nie było”. Przyznaje również Alcyata, że emigracja posiadała zbyt słabe i skąpe informacje co do istotnego położenia rzeczy w kraju naszym. „Demokracja emigracyjna bowiem — czytamy — nie była bogata, demokracja zaś krajowa albo również uboga, albo w ofiarach pieniężnych nie hojna. Misje były kosztowne, ludzi nie było zanadto”.

W takich warunkach wysłano właśnie z Paryża do Wielkiego Księstwa Poznańskiego Jana Alcyate, a rezultat jego badań brzmiał, że to „co nie było jeszcze zrobione, ma być zrobione”. „W całym dziele powstania — powiada Alcyata dalej — nic nie miało pójść wedle naturalnego porządku, tylko wypadek po wypadku miał je wprowadzić do konwulsyjnego wysilenia”.

Jak widzimy, brzmi to zgoła inaczej, aniżeli instrukcje Mierosławskiego, co do których sam autor przyznaje, że były one „zbyt kateryczne.”

Bardzo interesujący jest ustęp, w którym Alcyata bierze w obronę plan powstania pod względem wojskowym, jego zdaniem też „kombinacja wojskowe w ówczesnych okolicznościach dawała

szanse udania się, była wojskowo dobra, rozumna, bo miała za sobą rację polityczną. Innej kombinacji nie było i być nie mogło, reszta zaś zależała od szczegółów i sposobów wykonania, w czem okoliczności decydować mogły i decydować miały”, w każdym zaś razie „brano się szczerze do wszystkiego”.

Niezniermie ciekawą jest charakterystyka powstań Jana Alcyaty: „Polacy — mówi — mają wiele wstrętu do przedsięwzięć odlegle pomysłanych, pewnego ciągu systematyczności w wykonaniu potrzebujących; ale snadnie, prędko chwytają za oręż. Polityka przezorna, przewidująca, wytrwała, pewnym ciągiem i koleją do czynu prowadząca, mało między nimi znajduje stronników; czyn, sprawa orężna, powstanie wszystkich unosi, porywa. To uniesienie, ta solidarność w sprawie powstania narodowego byłyby zdolne, z powodu ich mocy, wszelki opór narazie przełamujący zastąpić, brak przewidującej myśli i nagłą improwizacją zejść niespodzianie nieprzyjaciela, rachuby jego pokrzyżować, środki i siły potargać, rozprawę z nim łatwą uczynić. Ale po uniesieniu następuje namysł, właśnie wtedy, kiedy go być nie powinno, i upadek dzieła przyspiesza, sprowadza.

Taką była historia wszystkich powstań, z których nauka rodziła nadzieje, że teraz będzie inaczej, ale inaczej być nie miało. Można powiedzieć, że wszędzie, a mianowicie w prowincjach przez srogie próby przeszłych, utkwioło to mniemanie, że porozumienie się, przygotowanie jest niebezpieczne, a niepotrzebne, kiedy w chwili czynu *wszystko się znajdzie*”:

To właśnie mniemanie, że „w chwili czynu wszystko się znajdzie” miało być zgubą i ośmieszeniem powstania!

Nie możemy przytaczać wszystkich argumentów, stawianych przez Alcyatę w obronie samego

planu powstania. Nawet twierdzenia przeciwników, że co najmniej należało się wstrzymać dwa lata, kiedy duch wolnościowy powiał po całej Europie, nie przekonywają Alcyaty. Utrzymuje on, że w roku 1846-ym nikt nie przewidywał rewolucji francuzkiej z roku 1848-go, ani też nie można się było spodziewać rychłych zmian w Europie, „nie zamiaru powstania zatem w roku 1846 żałować potrzeba, lecz tego, że wszyscy Polacy nie znali lepiej swojego położenia ówczesnego i nie przygotowali się lepiej do dzieła”. Cały wybuch w Poznaniu, niefortunną wycieczkę do Siedlec Dąbrowskiego lekceważy sobie Alcyata.

Rozprawa Alcyaty, napisana bądź co bądź z powagą, może nas nie przekonywać wcale, ale po przeczytaniu jej dojść musimy do przekonania, że istotnie pracowano szczerze i, że z wyjątkiem Mierosławskiego, w tym wypadku właśnie ambicje szerszy na plan drugi. Daleko smutniej, choć krwią serdeczną skreślony, przedstawia się dzisiaj list owego pielgrzyma, Leona Zienkowicza. Jest tu tyle frazesów, tyle emfazy, tyle szumnych, a czezych zwrotów, że wręcz przeciwny zamierzonemu wywołać musiał ów głos polski rezultat. Wiemy już z początkowego rozdziału tej książki, że Niemcy z całą perfidją od samego początku posiadania ziem dawnej Rzeczypospolitej, dążyli do tego, ażeby wytepić, zgermanizować ludność polską W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich. Ten prąd tępielsko-germanizacyjny w ostatnich dziesiątkach lat wybuchnął z wściekłą furją, a Hartmanowskie „*Ausrotten*” stosowane jest w sposób dziki. O tem wiadomo wszystkim. Ale przecież już wówczas były objawy takiej polityki niszczycielskiej, już wówczas, jak satrapa, rządził się hr. Flottwell i już wówczas ludzie przezorni wiedzieli doskonale, że na porozumienie liczyć nie można. Cóż dopiero liczyć na litość! A jednak Leon Zienkowicz lu-

dził się, że jego „Głos polski” wzruszy naród niemiecki i wpłynie na łagodny wyrok dla sprzyśniętych Polaków. Jako próbkę tych iluzji przytoczymy następujący na przykład ustęp: „Ludu niemiecki! — woła Zienkowiec, — wrogi nasze spotwarzają i czernią nas. Niewinni-żeśmy nam samym, niowinni-żeśmy sympatji waszej wyjaśnienia prawdy i odparcia szkalowań? Jakże to być mogło, aby to, co z przykazania Bożego cnotą jest w Niemcu, miało być zbrodnią w Polaku? Nie! sędziowie niemieccy! Polacy do sere swoich i rozumu swego nie przypuszczają jeszcze takiego o sercach waszych i rozumie waszym zwątpienia, i dla tego z całą szczerością sprawę swoją wyłożył i przedstawić wam pragnę”.

Wszystkie te głosy mogły wpłynąć istotnie jako balsam kojący na samych Polaków, ale Niemcom zależało na tem, ażeby rzecz całą rozdmuchać do rozmiarów wielkiej zbrodni stanu. Sądom pruskim zależało na wykazaniu przed światem, że Polacy to żywioł najniespokojniejszy, niesforny, niekarny, a przedewszystkiem nie jednolity. Najwięcej interesu miały Prusy w tem, ażeby emigranci polscy w Paryżu wyszli w oczach świata jako konspiratorzy, zagrażający spokojowi całej Europy. Wprawdzie prasa angielska, francuska i włoska, surowadzała cały wybuch powstania w Poznaniu do nic nie znaczącego epizodu awanturniczego, ale rząd pruski postarał się o cały aparat, mający przedstawić w poetycznem świetle wypadki poznańskie, i w tym celu z drobiazgową ścisłością przeprowadzono śledztwo, którego rezultatem było oskarżenie 254 osób. Jak wielką rząd przywiązywał wagę do tego procesu, dowodzi fakt, że oprócz aktu oskarżenia, którego ustępy niejednokrotnie przytaczaliśmy tutaj, wydano jeszcze drukiem dziś rzadką już bardzo księgę, jako dodatek do tego

aktu oskarżenia. W tej księdze zawarte zostały najdokładniejsze życiorysy wszystkich oskarżonych.

Proces Moabicki.

Przeprowadzenie śledztwa co do takiej liczby oskarżonych, musiało potrwać czas dłuższy, więc też chociaż aresztowania mniej więcej w końcu marca 1846 roku były ukończone, to jednak śledztwo zamknięte zostało dopiero w maju 1847 roku, a rozprawa naznaczona na dzień 2-gi sierpnia tegoż roku.

Rzecz naturalna, że najpierwsi i najznakomitsi adwokaci poznańscy pospieszyli stawać w obronie sprzysiężonych. Na czele tych jurystów, ożywionych jak najlepszymi chęciami, stali adwokaci: Krauthofer-Krotowski i Lisiecki, obok nich zaś grupowali się inni obrońcy, zarówno Polacy jak i Niemcy.

Sprawa przedstawiała się bardzo groźnie, i oskarżonym, szczególnie tak zwanym „głównym sprawcom” groziła kara śmierci za zbrodnię stanu, objawioną w chęci przywrócenia bytu Polski w jej granicach przed 1772-im rokiem.

Punktualnie w dniu 2-im sierpnia otworzyły się wrota więzienia Moabickiego i na salę wprowadzono oskarżonych. Na 254-ch stawilo się jednak tylko 190-ciu. Naczelne ławki zajęli główni sprawcy (*Urheber*), którzy też usiedli w następującym porządku:

- 1) Ludwik Mierosławski, emigrant, lat 33.

2) Władysław Eugenjusz Kosiński, porucznik wojsk pruskich, lat 33.

3) Stanisław Feliks Sadowski, obywatel ziemski, lat 25.

4) Seweryn Elżanowski, lat 25, emigrant.

5) Ksiądz Józef Albrecht Stanisław Łobodzki, karmelita, proboszcz w Klonówce, lat 49.

6) Stanisław Florjan Ceynowa, lekarz wojskowy, lat 29.

7) Józef Puttkammer-Kleszczyński, zawiadowca gospodarski, lat 21.

8) Apolinary Kurowski, dzierżawca, lat 28.

9) Adolf Malczewski, właściciel dóbr, lat 33.

10) Hipolit Trąpczyński, nadleśniczy, lat 31.

11) Karol Fryderyk Liebelt, doktor filozofii, lat 40.

Drugą kategorię stanowili tak nazwani przez prokuratora wspólnicy (Theilnehmer), których było 52-ch, pośród nich zaś z osób wybitniejszych znajdowali się: Henryk Poniński, porucznik wojsk pruskich, lat 37, Józef Szoldrski, właściciel dóbr, lat 33, Franciszek Antoniewicz, późniejszy lekarz, dwaj bracia Ogrodowiczowie, Maksymiljan i Antoni, jeden dzierżawca a drugi rządca gospodarstwa, znany nam już uczeń gimnazjum, Jan Edward Mazurowski, lat 27, Jan Nepomucyn Tomicki, lat 21, późniejszy ksiądz, znakomity kaznodzieja, pisarz i poeta, Józef Esman, celadnik młynarski, lat 30, Józef Szrajber, rządca gospodarczy, Norbert Szuman, młodzieniec 17-letni.

Wszystkie te osoby w liczbie 63-ch, tworzyły czoło oskarżonych, oprócz tego jednak 25 osób oskarżał prokurator o to, że wiedząc z przedsięwziętej zbrodni stanu, nie donieśli o tem władzom. Do tej kategorii zaliczył prokurator przeważnie obywatele ziemskich, oraz znanego nam o poprzednich rozdziałów Józefa Benedykta Lipińskiego, 38-letniego ślusarza. Przoduje tutaj proboszcz

z Bzowa, ksiądz Jan Tułodziecki. Innych oskarżonych poznamy sumarycznie, gdy będzie mowa o zapadłym wyroku.

Przesłuchiwanie wszystkich oskarżonych i świadków wymagało oczywiście znacznego czasu, wobec nie uproszczonej jeszcze tak, jak obecnie, procedury sądowej w Niemczech, ogromnie też wiele czasu zajęły mowy prokuratora, obrońców i głównego oskarżonego, Ludwika Mierosławskiego.

Przyznać należy, że jako orator wykazał Mierosławski bezporównania większe zdolności, niż jako organizator powstania i przyszły wódz wojsk polskich. Wygłosił on przed sądem dwie mowy, z których każda pod względem retorycznym ma wielkie zalety, lubo jest i tutaj wiele frazesu i niepotrzebnego balastu. W każdym razie i dziś jeszcze mowy czynią wrażenie siłą swą i w przeciwieństwie do Zienkowicza niepląszczeniem się przed sędziami, rządem i ludem pruskim. Dlatego też niektóre ustępy z tych mów uważamy tutaj za stosowne przytoczyć.

W pierwszej swej mowie Mierosławski broni siebie i wszystkich współoskarżonych od zarzutu o dążność anarchiczną i komunistyczną. „Wszystko to jest fałsz!—woła—bo anarchista nie jest wynikiem ale tylko niedoczynem rewolucji. Rewolucja jest jedna — anarchia — jako wszelkie przezczenie jest wieloraka. Szalona to potwarz, że związek nasz miał na celu anarchję szlachecką.” „Demokracja polska idzie do szturm, więc musi być karna, zgodna cierpliwa, jak bataljon starej piechoty. Po temu zawiązały się na emigracji kadry takiego hufca, któryby w szyku niezłomnym zdolny był przebrnąć wszelkie ziemi trzęsienia, i wszelkie niebios ulewy, póki naród nim osłoniiony nie powstanie z łoża boleści swojej w jego tropy.” „Komunizm? — co to jest komunizm pod piórem aktu oskarżenia? Jest zupełnie w obecnych cza-

sach zarzut odpowiedni czarnoksięstwu i alchemji w wiekach średnich. Kiedy nie wiedzano o co posądzić nieprzyjaciół swoich, przypisywano im zbrodnie niezrozumiałe, niepodobne, zbrodnie straszliwej a morderczej śmieszności. Jest mistyczny komunizm Mojżesza, Pitagoresa, Jezusa Chrystusa, temu zapewne nie dacie panowie zejść z wyżyn dziejów i nieba przed wasze kratki. Jest komunizm ekonomiczny, grzeczniej zwany socjalizmem; o tem dużo już napisano książek, ale próbę zastosowania tej zamroczonej nauki, rewolucja nasza odroczyć by musiała do perjodu demokracji tryumfującej, my zaś dopiero za ledwie jesteśmy na dziedzinie wojującej. Za cóż nam prokurator rządowy ma tyle wczesnej przypisywać mądrości? Jest komunizm nędzy, uciemnienia ciemnoty; ale wszak on nas nie kosztuje, boć to nieprzebrany skarb do podziału tych, co nic innego nie mają.

„Aby wam oszczędzić wątpliwości, my sami podnosimy przeciw sobie oskarżenie o zamiar rewolucji. „Rozebraliście to, co całym być chce i musi, zdeptaliście, co Bóg prosto i na nogi postawił, rozwiadliście gwałtem, co na wieki na ołtarzu niezmierzonej przeszłości zaślubionem zostało, a teraz chcecie, ażebyśmy pianą krwi i łez naszych nie pluli codziennie w oczy tym mocom, które nie pytając niebios, skazały nas na te okrutne nęki. A przecież, kiedy najlichsze stworzenie deprecie, to ono dobywa ostatniego tchu, iżby ukąszeniem pozbyć się nieznośnego brzemienia; a wy chcecie panowie, ażeby olbrzym zakuty w czarną trumnę nie wstrząsał nią, nie starał się odwalić deski, co mu gniecie serce.” „Alboż to Tytany śpią spokojnie pod nawalą wulkanów, jakimi zawiść Jowisza nakryła ich odwagę?”

„Ah! zaiste! Jeżeli spiskiem jest przeklinać dzień urodzenia swojego i łono matki, co nosiło pastwę dla ciemństwa.

„Jeżeli spiskiem jest wołać deremnie o pomstę do głuchych niebios za wszystkie krzywdy wyrażone ojczyźnie naszej.

„Jeżeli spiskiem jest wygrzebywać się wszelkimi środkami z jamy, gdzie pożreć mieliśmy się jak robactwo między sobą z żalu i z wściekłości.

„Jeżeli spiskiem jest konać przez wiek cały na krzyżu, pojeni żółcią i octem bez możności, jaką miał Chrystus zejścia do spoczynku śmierci, lub wzbicia się na górę przeobrażenia.

„Wtedy kraj spiskował, ale spiskował cały, od niemowlęcia do starca, od tych poczawszy, co w grobach szepcą nam, że im duszno pod ziemią niewolną, aż do Cherubów co jeszcze błakają się we mgle przepowiednej nim zejną cierpieć i walczyć o kości nasze.”

Czemuż tedy całej Polski nie widzimy na ławach trybunału waszego? Zkądże ten osobliwy przywilej męczeństwa dla nas, dla tych 260-ciu numerów, wyciągniętych z 20 milionów zaskarżenia waszego.”

Bardzo ciekawy jest ustęp, gdy Mierosławski tłumaczy, że powstanie polskie nie miało bynajmniej oszczędzać Prus: „Jako żywo, mości panowie! iny panowania pruskiego nie cierpimy, i zasłużylibyśmy tylko na waszą pogardę, gdybyśmy uwięzieni i pod zamachem złości waszej co innego mówić wam mieli.”

W dalszym ciągu przepowiada Mierosławski zjednoczenie wszechgermańskie, któremu grozi powódź wszechsłowiańska i twierdzi, że prędzej czy później wobec tej groźby słowiańskiej Niemcy będą zmuszone zwrócić uwagę na Polskę, jako na jedyny czynnik antyrosyjski w dualizmie słowiańskim. „W układ urzędowy wchodzić o to z gabinetem berlińskim nie możemy, ale wykradnijmy pannę a potem rodzice nadąsawszy się dowoli nie lepszego do uczynienia nie znajdują jak przysłać nam swo-

je błogosławieństwo. Ale w zalotach, jak w konspiracji potrzeba szczęścia. Ten, komu się oba te grzechy udadzą, wychodzi na pełnego zalet bohatera: i panna za nim szaleje i rodzice przebaczą. Ten zaś, kogo schwycą dopiero na drodze do grzechu, staje się podwójnym zbrodniarzem, bo i w oczach lubej, której porwać nie umiał, i w oczach rodziców, których oszukać nie zdążył. Ani się więc panowie nie myślimy żalić na dolę naszą. Jednemu tylko oszczerstwu precz od naszej męki!”

Tak samo w drugiej mowie swojej powrócił Mierosławski do tego, że nie 260 ludzi lecz cała ludność Polski konspirowała i ta cała ludność Polski powinna być postawione pod sądem. Broniąc Poznańczyków główny oskarżony nie wahał się przyznać, że całym ruchem istotnie kierowała emigracja, która jedynie mogła się zorganizować i być od nikogo nie zależną. Obie mowy zostały przerwane przez przewodniczącego sądu i nie mogły być dokończone, wszystko jednak, co było wygłoszone znajduje się w „Wizerunkach“ Zienkowicza.

Jak powiedzieliśmy sprawa cała trwała aż do dnia 2 grudnia 1847-go roku, a nazajutrz *Preussische Allgemeine Zeitung* ogłosiła wyrok tej treści:

„Skoro trybunał o godzinie 9-tej zrana zajął miejsca, prezydent po odczytaniu listy więźniów przystąpił do ogłoszenia wyroku, z którego okazuje się, że winnymi zbrodni zdrady kraju (*Landes verre therei pierwszej klasy*) okazali się wszyscy wymienieni jnż poprzednio spiskowcy w liczbie 11-tu. Pierwszych ośmiu skazano na utratę szlachectwa (o ile byli szlachcicami) konfiskatę majątku, utratę kokardy, to jest praw obywatelskich, i *ucieście głowy toporem*; Malczewski i Trąmpczyński skazani na utratę szlachectwa, kokardy, konfiskatę majątku i 25 lat aresztu w fortecy. Wreszcie Karol Liebelt

na utratę kokardy, konfiskatę majątku i 20 lat twierdzy.

Opowiadają ciekawy szczegół, który mam od jednego z żyjących uczestników procesu. Oto ksiądz Łobodzki wskutek długiego więzienia przygłuchł mocno, a namiętnością jego było zażywanie tabaki i częstowanie nią drugich. Kiedy prezydent sądu ogłosił wyrok, starzejący się już proboszcz-karmelita zapytał się siedzącego obok Ceynowy:

— Uwolnili czy skazali?

— Łby nam mają uciąć toporem — odparł spokojnie Ceynowa.

— Ha! Co ma być, niech będzie, — mruknął ksiądz Łobodzki. — Zarzycmy tabaki.

I brząknął w tabakierkę, a wśród grobowej ciszy wielkie to sprawiło wrażenie.

Wspólnicy w liczbie 52-ch również srogo zostali ukarani. Wprawdzie żaden z nich nie miał mieć uciętej głowy toporem i wprawdzie nikomu nie odbierano szlachectwa, ale długi areszt w fortecy i utrata kokardy, a nawet długie więzienie w domu poprawy, przeznaczono dla większej liczby tych przestępców *2-ej klasy*. Najniższy wymiar kary stanowiło 15 lat aresztu w fortecy. Nawet ów „słowik,” Aleksander Neymann, piekarz, który takie obszerne dał zeznania na śledztwie, nie wyszedł obroną ręką i utracił szlachectwo, kokardę i miał odcierpieć wiecznym aresztem fortecy swój obłęd rewolucyjny.

Obronniejszą ręką wyszli przestępcy *3-ej klasy*, ale i tutaj minimum stanowiło 8 lat aresztu w fortecy. Lipiński otrzymał również 8 lat „domu kary i poprawy.”

Do *4-ej klasy* należał sam jeden tylko znakomity lekarz poznański, dr. Teofil Matecki, któremu zarzucono, że należał do zakazanego stowarzyszenia, za co obowiązany jest cierpieć 6 lat w fortecy i zapłacić 100 talarów kary.

5-tą klasę stanowi awanturniczy Bronisław Dąbrowski. Tego nawet sąd pruski zlekceważył i uznał, że dla niego wystarczy 2 lata fortocy i 100 talarów kary.

6-tą klasę, złożoną z 10-ciu ludzi, ukarano więzieniem od roku do 18-tu miesięcy!

Wreszcie *7-mą klasę* stanowili ludzie, którym przyznano, że dotychczasowe więzienie jest dla nich karą dostateczną.

Oryginalny wielce w wyroku jest ustęp, uwalniający 115-tu ludzi „od skargi,” gdy natomiast 17 osób „uznano za niewinnych.” Przeciwno trzem pozostałym, wyrok zawieszono z powodu choroby.

Po wyroku Moabickim i dalsze wypadki poznańskie. Bitwy pod Książem, Miłostawiem i Wrześnią.

Zapadły w dniu 2-gim grudnia 1847 roku wyrok wywołał konsternację nie tylko w W. Księstwie Poznańskim, nie tylko na całym obszarze ziem polskich, ale, rzecz można, we wszystkich krajach i ludach Europy. To „uciecie głowy toporem,” te kary nadmierne dla ludzi mniej winnych, wzbudziły sympatję dla skazańców, a co najcharakterystyczniejsze, wzbudziły sympatję, która już upadać zaczęła, dla głównego sprawcy nieszczęść, Ludwika Mierosławskiego. Mowy jego czytano i rozrywano wszędzie, Mierosławski stał się bożyszczem niejako, i rząd pruski, zamiast osiągnąć uspokojenie kraju, przyczynił się tylko do tem większego podniecenia umysłów. Potrzeba było wielkiej siły woli ze strony partji t. zw. umiarkowanej, ażeby pracę, wszczętą przez Marcinkowskiego, który w tym czasie właśnie umarł, poprowadzić dalej. Wielkie też pod tym względem zasługi mają nauczyciele: Estkowski i Łukaszewicz, ks. Jan Koźmian, Edward hr. Raczyński i wielu innych, którzy nie zważając na rozpolitykowanie ogólne, pracę nad oświatą i zjedno-

zeniem narodu prowadzili z niezachwianą energją. Dzięki tym ludziom, nawet w takich ciężkich warunkach, powstało Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Towarzystwo Pedagogiczne, a pisma polskie i cały ruch wydawniczy, postawiony był na dość wysokim nawet poziomie.

Rok 1846-ty przyniósł ludności W. Ks. Poznańskiego nieobliczalne wprost straty materialne, z drugiej jednak strony przyznać trzeba, że przyniósł dość znaczne zyski moralne. Przedewszystkiem ruchy polskie z roku 1846 pobudziły cały naród niemiecki i popchnęły inteligentne żywioły niemieckie do odczuwania coraz silniej potrzeby życia konstytucyjnego. Ujawniło się to przede wszystkim w niezliczonych petycjach, adresach i demonstracjach, organami zaś, które naczelną w tym ruchu objęły rolę, były sejmy prowincjonalne.

Zbliżał się rok 1848-my, kiedy przez całą Europę powiał potężny duch wolnościowy. Rząd pruski, trzymając w więzieniu skazańców poznańskich, odwlekał wykonanie wyroku i nawet w tym samym czasie zaczął czynić pewne ustępstwa. W dniu 3-cim lutego 1847 roku rząd pruski, lubo niechętnie, zgodził się na połączenie stanowych sejmów prowincjonalnych w sejm krajowy, który przy ciągnięciu nowych pożyczek państwowych i w rzeczach prawodawstwa miał mieć głos doradczy. Król pruski, zacięty luteranin, pogodził się z klerem katolickim. Wszystko to jednak niezadowolowało partji liberalnej, która dążyła do tego, ażeby Niemcy zjednoczyły się pod egidą Prus. Wtedy też w dniu 18-ym marca ukazała się proklamacja Fryderyka Wilhelma IV, pozostawiająca Polakom zupełną swobodę działania. W proklamacji tej, zapowiadającej jedność Niemiec, monarcha pruski oświadczył, że prowincje, nie należące do dawnej rzeszy niemie-

ckiej, same mają orzec, czy chcą się do niej przyłączyć, czy nie.

Wywołało to ogromne wrażenie w Poznaniu i na prowincji. Królowi należało odpowiedzieć na pytanie. W tym celu wysłano deputację do naczelnego prezesa, którym podówczas był Beuerman, prosząc go o upoważnienie do utworzenia komitetu polskiego, któryby wraz z władzami pruskimi czuwał nad utrzymaniem porządku publicznego i ułożył adres do króla. Po uzyskaniu pozwolenia, zebrali się obywatele i powołali do komitetu 12-tu mężów ze wszystkich stanów i zawodów, jako to: Macieja hr. Mielżyńskiego, Gustawa Potworowskiego, księży: Aleksego Prusinowskiego, Fromholza i Janiszewskiego, dyrektora poznańskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Jarochońskiego, włościanina Palacza z Górczyna, Jędrzēja Moraczewskiego historyka, Ryszarda Berwińskiego poetę, Walentego Stefańskiego księgarza, Andrzejewskiego ślusarza i adwokata Krauthofera-Krotowskiego.

Komitet ten natychmiast wydał odezwę, w której wezwał ludność polską do oświadczenia królowi, że ta ludność nie życzy sobie należenia do rzeczy niemieckiej.

W drugiej odezwie, skierowanej wyłącznie do Niemców i Żydów, powiedziano *): „Podajemy wam braterską dłoń w nadziei i oczekiwaniu, że się na drodze spokojnego porozumienia o wszystko ułożymy. Czasy rządzenia bagnietami minęły. Wiemy, że między wami a nami walki obawiać się nie potrzeba, sami też ze wstrętem myśl taką odpychamy.”

W odpowiedzi na to Niemcy i Żydzi wystosowali również odezwę, w której przyrzekli dać czynną pomoc Polakom.

*) „Zarys Dziejów porobiorowych,” Poznań 1900 r., Księgarnia polska.

Działo się to wszystko w dniu 18-tym marca, kiedy w Berlinie wrzenie przeciw rządowi doszło do ostatecznych granic i kiedy nawet zmiana ministrów o duchu liberalniejszym nie zadowoliła ogółu. Nawet zwołanie sejmu połączonego na dzień 2-gi kwietnia nie zdołało już uspokoić berlińczyków. Szczególną nienawiścią ludu berlińskiego cieszył się ówczesny książę pruski, a późniejszy cesarz Niemiec, Wilhelm I.

W dniu 18-tym marca rozpoczęły się krwawe walki na ulicach Berlina między ludem a wojskiem, i walki te, trwające przez trzy dni, zakończyły się dopiero wtedy, gdy król przyrzekł, że książę pruski usunięty zostanie do Anglii, że amnestja zostanie ogłoszona, i że król pruski stanie na czele ruchu w celu zjednoczenia Niemiec.

Rzeczywiście w dniu 20-tym marca, o godz. 1-szej, wypuszczono wszystkich skazanych w procesie moabickim Polaków. Jak tryumfatorzy opuszczali oni cele więzienne, lud berliński przygotował im owację. Przedewszystkiem oczekiwały na nich powozy, od których jednak lud berliński wyprzągnął konie i sam te powozy ciągnął do zamku. Mierosławski z chorągwią niemiecką w ręku przyjechał aż pod balkon pałacu królewskiego i tam wygłosił mowę do narodu niemieckiego, po trzykroć zapytując:

— „Czy pragniecie wdzięczności niewolników?”

— Nigdy—odkrzyknął tłum.

— Zatem chcecie wolnej Polski, która by była tak wielka, jak nasza wdzięczność. Ku temu potrzeba swobody Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Wszakże czujemy, że ta niepodległość tylko pod opieką Prus ustalić się może. Odpowiedzciez mi przeto bez przymusu i jednogłośnie: Czy przystajecie na niepodległość pod opieką rządu waszego?”

Z tysięcy piersi wydobyl się jeden okrzyk: „Przystajemy!” Wówczas zażądano, ażeby Fryderyk Wilhelm IV wyszedł na powitanie uwolnionych.

I rzeczywiście monarcha spełnił wolę narodu i ukazał się na balkonie. Ale i to jeszcze nie zadowolilo berlińczyków. Fryderyk Wilhelm IV ukazał się ubrany po cywilnemu w kapeluszu na głowie.— „*Hut ab!*” (Kapelusz z głowy)—rozległy się okrzyki w tłumie i monarcha pruski zmuszony był stać z obnażoną głową przed tymi więźniami politycznymi polskimi i niemieckimi. *)

Późniejsi, tendencyjni pisarze niemieccy przypisywali agitatorom polskim w znacznej mierze wybuch krwawych walk na ulicach Berlina. Jest to fałsz wierutny. Stwierdzono bowiem, że o wybuchu rewolucji deputacja polska, udająca się z arcybiskupem Przyłuskim na czele do króla pruskiego, dowiedziała się dopiero w drodze do Berlina.

Przybywszy do Berlina, deputacja poznańska zastała rodaków swoich już uwolnionych z więzienia, a pierwszą jej czynnością było odbycie konferencji z ministrami, które to konferencje poprzedzić miały uzyskanie posłuchania u króla. W tym celu złożono na ręce jednego z ministrów prośbę o utworzenie komisji tymczasowej, mającej się zająć obsadzeniem urzędów Polakami i utworzeniem wojska narodowego w celu zastąpienia dotychczasowej załogi wojskowej w poznańskim.

W odpowiedzi na tę petycję tego samego jeszcze wieczoru pojawił się rozkaz gabinetowy tej treści: „Na przedstawione mi przez panów życzenia zgadzam się chętnie, mianowicie na rozpo-

*) Po szczegóły wybuchu rewolucji w Berlinie odsyłamy czytelników do wspomnień Henryka Szumana. Warszawa.

częcie reorganizacji narodowej w W. Ks. Poznańskim, a to w jak najkrótszym czasie. Przystaję na utworzenie Komisji z obu narodowości, która wspólnie ze swym prezesem naczelnym naradzi się i potrzebne wnioski przedstawi. Komisja rzeczona może przecież dopiero wtedy i o tyle być czynną, o ile prawny porządek i władza urzędników istnieć nie przestaną". Rozkaz ten gabinetowy podpisany został własnoręcznie: „Fryderyk Wilhelm”.

Korzystając z takiego pomyślnego obrotu rzeczy, akademicy polscy w Berlinie, uzyskawszy pozwolenie ówczesnego prezesa policji Minutolięgo, utworzyli straż bezpieczeństwa, która też zebrała się na dziedzińcu zamku Królewskiego. Sama policja doręczyła tej straży polskiej pałasze, jeden z urzędników miał nawet mowę do Polaków, w której wzywał do zgodnego działania przeciw Rosji i zapowiadał rychłe odbudowanie Polski przy pomocy Prus. Nigdy Polacy nie byli tak entuzjastycznie przyjmowani w Berlinie, jak wówczas, gdy na dziedzińcu zamku królewskiego rozlegała się tryumfująco komenda polska.

W wesołem usposobieniu wracała deputacja polska do Poznania, a wraz z tą deputacją wracała również w strony ojczyście polska gwardja akademicka. Wcześniej zawiadomione władze wojskowe wydały tej małej gwardji 700 sztuk broni. W dniu 22-im marca zapłonęła w całym Poznaniu wspaniała iluminacja, i był to dzień wielkiej radości, zgody, wiary, nadziei i miłości. Wierzono, że lada dzień armia pruska wyruszy przeciw Rosji, a wiarę w to podtrzymywały fakta, że generał Steinaecker zaczął ściągać wojsko z wszystkich stron do Poznania.

Jakież jednak było rozczarowanie, gdy działalność komitetu polskiego, powołującego się na rozkaz gabinetowy, na samym wstępie została udaremniona przez naczelnego prezesa, który oświadczył,

że nie otrzymał jeszcze odpowiednich rozporządzeń z Berlina. Pomimo tō w dalszym ciągu formowano gwardję, ochotników zaś tak było wielu, że wkrótce 15000 ludzi znalazło się w szeregach.

Nagle naczelny prezydent Becerman i głównodowodzący jenerał Colomb wydali odezwy, że gromadzenie się ochotników polskich nie ma celu i jest nieprawne. Historyk, cytowany już przez nas, w ten sposób tłōmaczy tę nagłą zmianę: „Zwolna, ustawicznie reakcja podnosiła głowę w Berlinie i Poznaniu. Niemcy, którzy wspólnie z Polakami przyrzekali sobie pomoc przeciw wrogowi wolności — Rosji, wymógłszy na swoim krōlu konstytucję liberalną, nie dbali już oto czy Polacy otrzymają przyrzeczone swobody i nawet zwrócili się przeciw nim”.

W tym czasie przybył do Poznania jenerał Willsen, mąż uczciwy i sprawiedliwy, któremu poruczono przeprowadzenie reorganizacji wojskowej. Posłannictwo swoje brał on na serjo i nakłonił Mirosławskiego do zawarcia ugody we wsi Jarosławcu której mocą lud zbrojny miał być rozpuszczony oprócz 5000 ludzi, ci bowiem mieli stanowić „kadry pruskie dywizji poznańskiej w przyszłej wojnie z Rosją”. Dywizją taką dowodzić miał wprawdzie oficer pruski, ale chorągwie i komenda miały tu być polskie.

Po tej konwencji w Jarosławcu jeszcze nie przestano się ludzić, Willisen bowiem był istotnie człowiekiem osobiście bardzo uczciwym. Ale Willisen, jak się okazało, zbyt sumiennie spełnił dane mu polecenia, jako człowiek wojskowy nierozumiejąc się zgōła na różnych sztuczkach dyplomatycznych, Poznańskie władze wojskowe wzruszeniem ramion przyjęły całą „Konwencję w Jarosławcu” i złożyły dokumenta (*ad acta*), a tymczasem władze cywilne rozpoczęły zaostrzanie namiętności pomiędzy obu narodowościami, zamieszkują-

oemi Wielkie Księstwo Poznańskie. Popierani przez żydów, którzy zawsze zwykli trzymać stronę mocniejszego, którzy nigdy w Poznaniu niebyli przyjaciółmi Polaków, a dziś jak wiadomo są bardziej hakatystycznie usposobieni niż sami twórcy stowarzyszenia trzech liter, reakcyoniści niemieccy wystąpili teraz z nowem zupełnie żądaniem odłączenia od W. Ks. Poznańskiego dwóch powiatów, dostatecznie ich zdaniem zgermanizowanych: międzyrzeckiego i babimojskiego. Te dwa powiaty, zdaniem patriotów niemiecko-żydowskich, powinny wejść w skład rzeszy niemieckiej bez względu na to, czy reszta Księstwa Poznańskiego będzie wcielona do tej rzeszy, lub nie.

Rzecz jasna, że taka chęć uszczuplenia, taki nowy rozbiór kraju musiał wywołać gorący protest ze strony Polaków. Namietności zaczęły się zaostrzać i Prusacy, głosząc, że są zagrożeni w swoim bycie narodowym, zaczęli tworzyć oddziały ochotnicze t. zw. „freikory” mające niby to bronić tych zagrożonych Niemców. Rozjątrzenie doszło do tego stopnia, że w okolicy Bydgoszczy ze składek uzbrajano całe bandy niemieckie, które bez najmniejszego powodu napadały na dwory polskie, łupić bezkarnie, pustoszyły wszystko i jak powiada historyk „batami dokumentowały na skórze obywateli polskich swój patriotyzm niemiecki”. Te bandy przybrały sobie nazwę „Netzbruderów” (Braci Nadnoteckich), a rząd nie starał się bynajmniej poskromić tego rozpasania. Natomiast do Berlina wysyłano ciągle z Poznania potwarze na zacnego generała Willisena, który też w końcu zmuszony był opuścić Poznań. Na jego miejsce przybył generał Pfuël, jako nowy organizator.

Tego nowego działacza pruskiego poznał od razu dokładnie zacny patriota, ksiądz arcybiskup Przyłuski, który też w jednym z listów do ówczesnego ministra Schwerina takie wypowiedział zda-

nie: „Przybył generał Pfuel jako nowy zwiastun po-koju i organizator prowincji, a pierwszym jego czy-nem było rozszerzenie stanu obłężenia miasta na całą prowincję. Drugim czynem był zupełnie nowy wynalazek: *Naznaczać w boju pojmanyh Polaków na uchu i rękę kamieniem piekielnym*. Trzecim czynem był podział Księztwa na ziemi polskiej skuteczniony. A tymczasem trwały i trwają jesz-cze w całej prowincji rozliczne okropności, z tym dodatkiem, że pod opieką tego nowego pacyfika-tora chłopci i szlachta biorą baty, a mieszkańcom naszego kraju odświeżają się w pamięci hord tatar-skich napady”.

Nie było już wątpliwości, że reskrypt gabinetowy przestał mieć jakieśkolwiek znaczenie i że reakcja rozpoczęła teraz panowanie na całej linii. Gdy jeszcze stało się rzeczą pewną, że do wojny pomiędzy Rosją a Prusami nieprzyjdzie, nie ulegało już wątpliwości, iż Polacy, którzy dotąd byli pe-wnym atutem w rękach rządu pruskiego, odtąd na żadne nie mogą liczyć już względy. Rząd nie tał już swoich zamiarów, a chociaż prąd rewolu-cyjny powiał po Niemczech, to jednak sympatje zginęły bezpowrotnie.

Cóż należało w takim wypadku robić? Ro-zum wskazywał, ażeby odtąd na drodze konstytu-cyjnej upominać się o swoje prawa, i to było dro-gą najwłaściwszą. Takie jednak rozwiązanie kwestji nie było wcale po myśli rządu pruskiego, który raz rozbujawszy nadzieje Polaków, musiał teraz wszystkie rojenia na przyszłość zgnieść siłą brutal-ną. Sam przeto pchał naprzód ku rozwiązaniu, sam pobudzał Netzbruderów i freikory i na każ-dym kroku tyle szykan, tyle utrudnień robił Pola-kiem, że w końcu cierpliwość się wyczerpała. Bądź co bądź zdawało się, że teraz położenie jest daleko lepsze dla powstania, aniżeli było w roku 1846-ym, w każdym razie powstańcy mieli gwardję, czyli

dywizję, względnie dobrze wyćwiczoną, po ochotnikach zaś, którzy szczególnie w Środzie i Trzemesznie zgłaszali się licznie, sądząc, można było liczyć na pewne szanse w starciu zbrojnym z wojskami pruskimi. To wszystko mając na względzie, postanowiono chwycić za broń i wodzem naczelnym obrano w dniu 28-ym kwietnia znów Ludwika Mierosławskiego.

Prusacy byli widocznie na to przygotowani i przez szpiegów swoich dobrze poinformowani.

Mierosławski rozdzielił całą „armię polską” na trzy oddziały, które jednak operować miały w pobliżu siebie, ażeby na każde zawołanie nieść sobie pomoc wzajemną. Punkt zborny oznaczono pod miasteczkiem Sremem i stąd jeden oddział wyruszył pod maleńką miścinę Książ w nadziei, że Warta będzie tutaj doskonałą linią obronną. Oddział ten był najsłabszy, liczył bowiem zaledwie 800 licho uzbrojonych ochotników polskich.

Drugi oddział, znacznie już silniejszy, składający się z 1800 powstańców, wyruszył ku Miłosławowowi, znanej rezydencji dawniej hrabiów Mielżyńskich, a obecnie członka pruskiej izby panów, Józefa Kościelskiego.

Trzeci wreszcie oddział, nad którym dowództwo objął sam Mierosławski liczył najlepiej wyćwiczonych bojowników około 3000. Ten oddział posunął się ku Wrześni.

Jaki plan miał Mierosławski, trudno wyrozumieć, zdaje się jednak, że ustawiwszy trzy oddziały w formie trójkąta, chciał klinem rozbić naciągające wojska pruskie. Przytem liczył prawdopodobnie na to, że we wszystkich trzech punktach nie znajdzie liczniejszych załóg pruskich. Był to błąd, ale daleko mniejszy jeszcze od tych, jakie bądź popełnił, bądź chciał popełnić w roku 1846-m.

Pierwszy oddział stanął pod Książem już dniu 29 kwietnia i ku przerażeniu swojemu spostrzegli dowódczy, że na przybycie ochotników polskich oczekiwało tutaj 3,000 Prusaków zaopatrzonych w armaty. Cofnąć się było już zapóźno, licho uzbrojony oddział przyjął przeto bitwę i przez kilka godzin dokazywał prawdziwych cudów waleczności. Siły jednak były tak nierówne, że w końcu Polacy musieli uleść przemocy i bądź poddali się, bądź rozpierchli, pozostawiając na polu bitwy liczne trupy, pomiędzy którymi znajdował się dzielny major Dąbrowski.

Drugi oddział zaraz nazajutrz znalazł się w ogniu. I tutaj liczebnie Prusacy mieli przewagę pod Miłosławiem, przeciw powstańcom bowiem wystąpiło z górą 5,000 wojska pruskiego. Walka rozpoczęła się nadzwyczajnie krwawa i już Polacy zaczęli się cofać, gdy nagle przybyła im pomoc niespodziewana, a przyniósł ją pułkownik Białoskórski, który pod Pleszewem uformował oddział i śpieszył na punkt zborny. Białoskórski posłyszawszy z oddali strzały, skierował się ku Miłosławiowi i przybył właśnie w samą porę. Impet, z jakim wpadł Białoskórski tak przeraził Prusaków, że po krótkim oporze odezwały się trąbki nakazujące odwrót.

Oprócz Białoskórskiego, który uratował sytuację, pod Miłosławiem zasłużył się także wódz oddziału strzelców, Ignacy Fontowicz. Zamknął się on ze swoimi strzelcami na cmentarzu i tak długo odpierał atak nieprzyjaciół aż nadeszła pomoc z Pleszewa. Niestety bohater ten padł tutaj śmiercią bohaterską.

Było to jedyne zwycięstwo w tej kampanji 1848-go roku, i na wieść o niem radość opanovała wszystkich, a umysły rozgrzały się nadzie-

ją. Cóż to dopiero będzie, gdy Mierosławski na czele najlepszych wojowników stoczy ostateczny bój krwawy z Prusakami?

Na odpowiedź na to pytanie nie czekano długo, bo oto w dwa dni później nadeszła wieść o zupełnej klęsce, poniesionej przez Mierosławskiego pod Wrześnią.

Bitwa pod Wrześnią przypomina potroszę bitwę Raclawicką i tu bowiem lud wiejski, wzięty od pługa, uzbrojony w kosy, odważnie szedł na działa nieprzyjacielskie, była też chwila, że zwycięstwo chyliło się na polską stronę. Niestety! Mierosławski nie był Kościuszką, nie spostrzegł oskrzydającego ruchu wojsk pruskich, pozwolił się otoczyć ze wszystkich stron i w końcu, nie mogąc przemóc sił pruskich, musiał złożyć broń. Padło tutaj około 130 Polaków, przeważnie chłopów, a liczba rannych była równie wielką. Ale lud wielkopolski do dzisiejszego dnia wspomina z chlubą tę bitwę i z pokolenia w pokolenie krąży znana w tamtej ziemi piosenka:

Prostą drogą z Sokołowa
Jest pod Wrześnią wieś,
Tam to biły chłopcy wroga
Za tę Polską cześć.

Nad ranionymi pastwili się żołnierze pruscy, a szczególnie żydzi z pobliskiego miasteczka Wrześni.

* * *

Od tej pory reakcja przybrała już takie formy, że niezem nie krępowano się w bezwzględności wobec Polaków. To są jednak dzieje najnowsze, które w zakres tej książki nie wchodzą.

Opisując tutaj wypadki zbrojne w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, szczególniejszą uwagę zwróciliśmy oczywiście na rok 1846, dalszy bowiem rozwój był wynikiem tego, co się wówczas kluc z zaczęło. Być może, iż spowodowało to w książce pewną dysproporcję, która jednak wydała nam się konieczną. Zresztą wyraźnie kładziemy nacisk na to, że chodziło nam wyłącznie o wypadki w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, całokształt zaś dziejów tych dwóch lat wymaga bardzo szerokiego traktowania przedmiotu, o co nie chcieliśmy się kusić.

K O N I E C.

wieka. *Włodzimierza Stebelskiego*, **Wybór poezji**. *Edwarda Bernsteina*, **Strajk** (studjum). *Karola Busse*, **Zawierucha polska** z niem. *Adama Mickiewicza*, **Księgi narodu i pielgrzymstwa**. *Poeci-chtopi*, **Wybór**. *Stefana Barszczewskiego*, **Obrazki amerykańskie**. *D-ra Jerzego Brunera*, **Nasi najdrobniejsi wrogowie** (studjum). *W. Doroszewicza*, **Opowiadania**. *Wincentego Rafackiego* (syna), **Fraszki**. *Wł. Łozińskiego*, **Opowiadanie Wita Narwoja**. *Homera*, **Iljada i Odysseja** (z objaśnieniami A. Langego). *Ig. Chodźki*, **Pamiętniki kwestarza**. *Wł. Studnickiego*, **Ilu nas jest?** (studjum). *Mieczysława Romanowskiego*, **Dziewczę z Sącza**. *Bożydara*, **Wybór poezji**. *Józefa Włoskiewicza*, **Giełdy pracy** (studjum). *Grot. Bęczkowskiej*, **Stella**. *Władysławy Nideckiej*, **W imię praw** (powieść). *Juljusza Słowackiego*, **Horsztyński**, oraz przekłady nowych prac powieściowych *Sudermanna*, *Hauptmanna*, *Kiplinga*, *Tołstoja*, *Gajera*, *d'Anunzzia*, *Emila Solariego*, *Bowrgeta*, *Anatola France'a* i wiele innych.

Dzięki zmienionym warunkom cenzuralnym Administracja „Taniej Biblioteki dla Wszystkich” jest w możności przyjąć na siebie pośrednictwo w dostarczeniu prenumeratorom po znacznie niższej cenie pięknej reprodukcji obrazu **Jana Styki**

≡ POLONIA ≡

Konstytucja 3 Maja 1791 roku.

(wymiarów 70×115 c/m).

mianowicie: bez oprawy na pięknym kartonie po rb. 4, w ramach imitujących dąb po rb. 10, w dębowych po rb. 12, w ozdobnych po 16, oprócz rzeczywistych kosztów przesyłki pocztą lub koleją i opakowania. Reprodukcja „POLONII” po wymienionej cenie może być zamawiana **tylko bezpośrednio w Administracji**

„Taniej Biblioteki dla Wszystkich”

Warszawa, ulica Hoża № 16, Telefon 50-42.

i wysyłana będzie **tylko po uprzednim nadesłaniu całkowitej należności**, przyczem koszty przesyłki i opakowania pobierane będą przez zaliczenie.

Listy w sprawach prenumeraty i przekazy prosimy adresować:
Administracja Taniej Biblioteki dla Wszystkich — Warszawa, Hoża 16.

Tania Biblioteka dla Wszystkich

wydawnictwo tygodniowe, książkowe
(po 5 do 7 arkuszy druku).

CENA PRENUMERATY

W Warszawie. Z przesył. poczt. Za granicą.

Rocznie . . .	Rb. 5.20	Rb. 6.—	Rb. 10:40
Półrocznie . . .	" 2.60	" 3.—	" 5.20
Kwartalnie . . .	" 1.30	" 1.50	" 2.60

UWAGA. Za odnośnienie do domu dopłaca się
15 kop. kwartalnie.

Prenumeratę przyjmuje Administracja **Taniej Biblioteki dla Wszystkich** (Warszawa, ulica Hoża 16, Telefon 50-42) oraz wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

WYDAWCY:

Jan Rowiński i Adam Sobieszczański.

REDAKTOR

KIEROWNIK LITERACKI

Adam Sobieszczański.

Artur Głisczyński.

Adres Redakcji i Administracji

Warszawa, ulica Hoża 16, Telefon 50-42.

W GALICJI prenumerata wynosi:

Rocznie . . .	Kor. 16—	z przes. poczt.	Kor. 18—
Półrocznie . . .	" 8—	" " "	" 9—
Kwartalnie . . .	" 4—	" " "	" 4.50

Administracja na Galicję w księgarni **Maniszewskiego i Meinharta** we Lwowie, plac Halicki 3.

Odpowiedzialny za redakcję we Lwowie:

Józef Meinhart.



6699/

1

828